

Liz Fielding  
*Pocałunek życia*

## PROLOG

- To naprawdę okropne miejsce! Przypomina mi jakieś mauzoleum! Nie zamieszkałabym tu, nawet gdybyś mi dopłacał. I jeszcze ta cisza!

- Właśnie, ta cisza. To dokładnie to, czego Jessie teraz potrzebuje.

- Żadnych dzieci, żadnej muzyki, czy choćby miauczących kotów... To nienormalne!

- Dobrze wiesz, że Jessie nie przepada za kotami, psy ją przerażają, a żadnego dziecka w najbliższej przyszłości się nie spodziewa - beznamiętnym głosem perorował Kevin.

Wzmianka o dziecku spowodowała, że na jego twarzy pojawił się bolesny grymas. Nie żeby miał coś przeciwko dzieciom, skąd. A już z całą pewnością nie chodziło mu w tej chwili o jego własnego półrocznego synka, jednak...

Uspokajał się stwierdzeniem, że takie chwilowe skrzywienie światopoglądowe zawdzięcza jedynie permanentnemu brakowi snu.

- Nie tylko w najbliższej przyszłości, ale nigdy w życiu, jeśli choć na chwilę nie odwróci głowy od ekranu komputera i nie zacznie normalnie żyć!

- Nie wiem, czy jest czego żałować - wymruczał pod nosem Kevin.

- I jeszcze ta praca w domu! - kontynuowała Faye, najwyraźniej nie słysząc ostatniej uwagi męża. - Przecież ona już w ogóle przestała spotykać się z ludźmi! Niedługo nie będzie wychodzić nawet po zakupy. Mogłaby umrzeć w tym swoim Tamplow Towers i nikt by tego nawet nie zauważył!

Jakby czekając jedynie na chwilę przerwy w monologu swej matki, spokojny do tej pory Bertie wierzgnął niecierpliwie nóżkami, wydając przy tym donośny, świdrujący, pełen pretensji okrzyk. Wyrzynające się od kilku dni dwie dolne jedyńki najwyraźniej ponownie dały o sobie znać.

Faye pochyliła się nad synkiem, głaszcząc go lekko po główce. Ten czuły gest nie uspokoił malca. Bertie czuł się nieszczęśliwy i najwyraźniej uznał, że cały świat powinien się o tym dowiedzieć.

- Widziałeś wzrok tej kobiety, kiedy mijała nas dzisiaj w holu? - Faye ponownie odwróciła głowę w kierunku męża. - Zupełnie, jakbyśmy byli zadżumieni albo coś równie okropnego. A wracając do Jessie, to myślę, że przydałoby jej się trochę więcej adrenaliny...

- Masz na myśli ponowny romans? - Na twarzy Kevina wykwitł nikły uśmiech.

- Dokładnie tak! Sposób, w jaki ona chce przeżyć swoje życie... To nie jest według mnie normalne.

- To, co dzieje się w tym domu, też nie jest normalne - skwitował słowa żony Kevin. Mógł być już niemal pewien, że jego nadzieja na spokojnie przespaną noc i tym razem okazała się daleko posuniętą naiwnością. Zrezygnowanym mchem wyjął syna z objęć Faye i położył go na dywanie, tuż obok pudełka z zabawkami.

- On ząbkuje. To mu nie pomoże.
- On ząbkuje już od tygodnia! Czy to się kiedykolwiek skończy?
- Wszystko, czego nam trzeba, to jedna, jedyna spokojnie przespana noc - westchnęła ciężko Faye.
- Przespana noc? Już niemal nie pamiętam, co to takiego. A ty?
- Przestań narzekać i zacznij myśleć. Musimy przecież jakoś pomóc twojej siostrze. Inaczej gotowa podpisać umowę na wynajem tego okropnego mieszkania na pięć lat z góry!
- Nie jest okropne - zaprotestował beznamytnie Kevin. - Mnie wydaje się całkiem przyzwoite. I bezpieczne.
- Jessie jest jeszcze za młoda na przyzwoite i bezpieczne mieszkania. Zobaczysz, to się źle dla niej skończy, wspomnisz moje słowa.
- Zdaje się, że my sami też nie skończymy lepiej.
- Kevin obrócił się w kierunku żony, przyglądając się z niepokojem jej podkrążonym oczom i szarej, niemal ziemistej cerze. Oczywiście świetnie wiedział, że sam nie wygląda lepiej. - I jedna, najlepiej nawet przespana noc nic tu nie zmieni. Nam potrzebny jest tydzień, o ile nawet nie miesiąc spokojnego, niczym nie przerwane snu!
- To fakt. - Faye ziewała właśnie przeciągle, kiedy niespodziewanie jej oczy zajaśniały zagadkowym blaskiem. - I zdaje się... I zdaje się, że znalazłam właśnie świetne rozwiązanie.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Proszę, Patrick! Proszę, proszę, proszę! Jest przecież środek lata. W Londynie nie został nawet pies z kulawą nogą.

- No, jesteś jeszcze ty i jakieś siedem milionów innych ludzi. - Na ustach Patricka Daltona błąkał się figlarny uśmiech.

- Tylko nie kpj sobie ze mnie, bardzo cię proszę! Jestem jak najbardziej poważna.

Kpić? Ciekawe, kto z kogo tak naprawdę sobie zakpił. W tej materii Patrick Dalton nie miał sobie nic do zarzucenia. Sprawy zaczynały przybierać niepokojący obrót i zdaje się, że jego siostrzenica miała w tym swój niemały udział.

- To zupełnie tak jak ja, Carena - odpowiedział. Użycie pełnej formy jej imienia mogło oznaczać tylko jedno: Patrick Dalton powoli tracił cierpliwość. - Obiecałaś przecież zająć się domem podczas mojej nieobecności. Zaufałem ci i tylko dlatego nie wynająłem żadnej profesjonalnej firmy. A powinienem...

- Mówiłaś przecież, że nie uda ci się znaleźć nikogo w tak krótkim czasie

Carena najwyraźniej postanowiła zmienić linię swej obrony.

- O ile sobie dobrze przypominam, to powiedziałem jedynie, że to z pewnością nie będzie takie proste - odparował szybko.

- Och, przestań być taki zasadniczy! - wykrzyknęła z wyrzutem i skrzywiła się. - A czy w takim razie nie mógłbyś zadzwonić do nich teraz?

- Teraz?! - Echo w słuchawce telefonu komórkowego Patricka zdawało się potęgować jedynie jego zdziwienie. - Popraw mnie, jeśli się mylę, ale skoro tutaj jest teraz wczesne popołudnie, to w Londynie musi być środek nocy. Mam rację? Nie wydaje mi się, żeby jakakolwiek agencja...

- Później - jego siostrzenica jęknęła cicho. - Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, byś zadzwonił do nich później.

- Owszem, mógłbym zadzwonić - potwierdził krótko Patrick. - Tylko po co?

Zanościło się na to, że jedna z poważniejszych spraw, nad którą ostatnio pracował, miała właśnie przejść mu koło nosa. Już samo to wystarczyłoby, by nie tryskał dobrym humorem. Pretensje rozkapryszonej, osiemnastoletniej panienci dolewały tylko oliwy do ognia.

- Skoro wcześniej zgodziłaś się zaopiekować moim domem podczas wakacji, to widocznie nie masz dość pieniędzy, by wałęsać się ze znajomymi po całej Europie, prawda? A przy okazji, czy dzwonienie na mój rachunek jest jednorazowym precedensem, czy stało się już twoim zwyczajem?

- Jest przecież środek nocy, pamiętasz? - Carenza najwidoczniej miała przygotowane odpowiedzi na wszystkie

ewentualne pytania. - Tańsza taryfa. A skoro już o tym mowa...

- Co znowu?

- Czy mógłbyś mi pożyczyć trochę forsy? Oddam po powrocie mamy.

- Żebyś wyruszyła na wędrowkę z jakimś podejrzanym towarzystwem? Zwariowałaś! Gdyby twoja matka się dowiedziała, dostałaby chyba palpitacji serca.

- Nie powiem jej, jeśli obiecasz, że i ty będziesz milczał - Carrie zaśmiała się wdzięcznie.

- Sprytne - Patrick westchnął ciężko - ale nieskuteczne. Zapomnij o tym, skarbie. A na poważnie, postaraj się zebrać na świadectwie jak najwięcej piątek, to na Boże Narodzenie sam wyślę cię na narty, dokąd tylko będziesz chciała. Uważam, że trochę odpoczynku od twoich niezwykle pomysłowych przyjaciół dobrze ci zrobi. Wietrz umysł i rozmyślaj, rozmyślaj, rozmyślaj...

W słuchawce dało się słyszeć kilka niewyraźnych epitetów. Patrick mógł jedynie podejrzewać, pod czym adresem były skierowane.

- Jak możesz być taki podły? -jęknęła zdesperowana dziewczyna.

- Lata praktyki, złotko. - I rzeczywiście, była to prawda. - Ale powiedz lepiej, jak tam moje fikusy? Mam nadzieję, że podlewałaś je zgodnie z moimi wskazówkami?

Tym razem dźwięki dobiegające ze słuchawki przypominały odgłosy burzy z piorunami.

- Letnia woda, raz dziennie - odezwał się Patrick.

- Jasne, zaraz się nimi zajmę - wysyczała cierpko Ca-

renza. - Najpierw podleję je letnią wodą, a zaraz potem powyrywam im wszystkie korzenie.

Carenza rzuciła słuchawkę. Jej wuj uśmiechnął się pod nosem.

To nie on wpadł na pomysł, by opiekę nad domem i kwiatami powierzyć siostrzenicy.

Leonora, jego siostra, a matka Careny, doszła do wniosku, że dorastającej panience dobrze zrobiłaby mała odmiana. Chciała wyrobić w córce poczucie obowiązku, a Patrick ochoczo ją poparł. Tym bardziej że podczas jego kilkutygodniowej nieobecności dom rzeczywiście nie powinien stać pusty.

Jak się jednak okazało, już po dwóch tygodniach samotnego przebywania w wielkim, pustym domu, Carenza miała wszystkiego po dziurki w nosie. Ona mogła sobie pogadać z fikusami, podczas gdy grupka jej znajomych właśnie ruszała na podbój Europy.

Jessie zakręciła gałki prysznic. Nie, nie myliła się. Ktoś dobijał się uparcie do drzwi wejściowych. Miała tylko nadzieję, że istniał ku temu wystarczająco ważny powód, bo w przeciwnym wypadku nie mogła za siebie ręczyć. Była szósta trzydzieści rano i całe Taplow Towers spało. Przynajmniej do tego momentu.

- Idę, już idę! - krzyknęła w kierunku drzwi, pospiesznie wślizgując się w szlafrok i okręcając wokół mokrej głowy duży, kąpielowy ręcznik.

Jakby w odpowiedzi przeraźliwy odgłos dzwonka zamilkł nagle i wokół nastała błoga cisza. Niestety, zważywszy na okoliczności, nie miało to już chyba żadnego zna-



czenia. Jessie była bowiem pewna, że dzwonek obudził wszystkich mieszkańców Taplow Towers. Hm, z pewnością nie stanie się tu najbardziej popularną lokatorką.

Uchyliła ostrożnie drzwi. Po drugiej stronie nie było nikogo.

Jej wzrok powędrował niżej. Para dużych, zdziwionych, niebieskich oczu przywitała ją rozspanym spojrzeniem. Na progu, w swoim dziecięcym foteliku samochodowym leżał Bertie.

Jessie przełknęła ślinę.

- Kevin?! Faye?! - wykrzyknęła, raczej słusznie wnioskując, że jej półroczny bratanek nie mógł przecież sam nacisnąć przycisku dzwonka. Tak, był nad wiek rozwiniętym niemowlakiem, ale nie aż do tego stopnia. - Co się dzieje?

Odpowiedziała jej głucha cisza.

Jessie jeszcze raz omiotła wzrokiem najbliższą okolicę. Ani śladu jej brata czy bratowej. Nic, prócz niewielkich rozmiarów karteczki, którą Bertie trzymał w ręczce. Sięgnęła po nią. A potem czytała, prawie nieprzytomna ze zdenerwowania:

*Prosimy, zaopiekuj się małym przez kilka najbliższych dni. Wszystko wyjaśnimy ci po powrocie. Kevin i Faye.*

Naprawdę czuła, jak po jej plecach spływają strużki zimnego potu.

Po powrocie? Skąd?!

Kilka pięter wyżej szcęknięły drzwi windy. Jessie rzucała się w kierunku schodów.

- Kevin, Faye! - wykrzyknęła, pokonując kolejne stopnie. - Zaczekajcie!

- Czy coś się stało, panno Hayes? - Jej uszu dobiegł nagle głos sąsiadki wsiadającej właśnie do windy. Jessie zamarła.

Taplow Towers było oazą spokoju. Miejscem wolnym od głośnej muzyki czy odgłosów zwierząt, a już na pewno od płaczu niemowlaków.

Czy coś się stało? Tak, zdecydowanie tak.

- Nie, nic - odpowiedziała.

W tym samym momencie Bertie, leżący nadal przed drzwiami jej mieszkania w swym foteliku, zakwilił cicho.

- Co to było? - Dorothy Ashton, przewodnicząca wspólnoty mieszkaniowej w Taplow Towers, mimo swego podeszłego wieku posiadała zadziwiająco dobry słuch.

- Nic. - Jessie odchrząknęła głośno i próbowała zakasać. - Musiałam się chyba trochę przeziębici.

Demonstracyjnie pociągnęła nosem, by nieco uwiarygodnić swoją wersję.

- Ach tak?

- Brałam właśnie prysznic, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Nie zdążyłam dobiec. - Jessie zrobiła krok do tyłu, zawiązując ciaśniej poły szlafroka. - Stąd ten hałas.

Kolejny krok do tyłu. I jeszcze jeden.

Kevin i Faye mogli teraz odetchnąć z ulgą, ponieważ od tej chwili jedynym pragnieniem Jessie stało się ukrycie Bertiego za drzwiami mieszkania, zanim pani Ashton odkryje jakikolwiek ślad jego obecności.

- Przepraszam, ale właśnie przypomniałam sobie, że chyba zostawiłam odkręcony prysznic! - zawołała w kierunku sąsiadki i na przemian to kaszląc, to kichając, pobięła do siebie.

- Dobrze pani wie, że nie tolerujemy tutaj jakiegokolwiek zakłócania spokoju, panno Hayes - dobiegł ją głos Dorothy Ashton. - Proszę pamiętać, że jest pani wciąż na okresie próbnym. Pani sobotni goście nie należeli do najspokojniejszych!

- Wiem, przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

Było to dość ryzykowne stwierdzenie, bo sobotnimi gośćmi Jessie był nie kto inny jak jej brat Kevin ze swą żoną Faye i półrocznym synkiem Bertiem. Absurdalna obietnica, szczególnie w obecnej, dość skomplikowanej sytuacji.

Jessie przygryzła dolną wargę.

W Taplow Towers zawsze panowały cisza i spokój. Przez całe noce mogła siedzieć przy komputerze bez obawy, że ktokolwiek lub cokolwiek zakłóci jej pracę.

Jeden fałszywy ruch, i w ciągu dwudziestu czterech godzin będzie musiała poszukać sobie innego lokum. Tak stanowił regulamin Taplow Towers, którego dobrowolnie zgodziła się przestrzegać, co potwierdziła własnoręcznym podpisem.

W tej sytuacji odrobina lizusostwa będzie jak najbardziej na miejscu.

- Naprawdę mi przykro, że zakłóciłam pani spokój, pani Ashton - krzyknęła w kierunku górnych piętér.

- W porządku, panno Hayes - odkrzyknęła sąsiadka, unosząc kąciki ust lekko ku górze. - Tym razem nie będziemy z tego powodu robić afery. Każdy przecież może popełnić jeden błąd.

W odpowiedzi dobiegł ją suchy kaszel Jessie. Otwarta przestrzeń klatki schodowej potęgowała odgłosy kaszlu,

tak że drobna dolegliwość zaczynała powoli przybierać rozmiary ciężkiej choroby zakaźnej.

- I radzę wziąć coś na to przeziębienie, moja droga. Mleko z miodem powinno pomóc!

- Tak. - Kaszlnięcie. - Będę pamiętać!

Kaszlnięcie, kaszlnięcie.

Z chwilą gdy drzwi windy zamknęły się w końcu za panią Ashton, Jessie chwyciła w rękę fotelik Bertiego i najciszej, jak potrafiła, wniosła go do swego mieszkania.

Po chwili ciężko oparła się o drzwi. Jej młodociany bratanek nie spuszczał z niej oka.

- No, Bertie... I co my teraz pocznjemy? - szepnęła, pochylając się nad dzieckiem.

Niestety, nie był to najlepszy pomysł. Z odległości pół metra, jaka ich teraz dzieliła, Bertie mógł stwierdzić z całą pewnością, że kobieta, która się do niego wdziczy, nie jest jego mamą. I głośnym, przejmującym krzykiem postanowił zaprotestować przeciwko takiemu stanowi rzeczy.

- Ciii, Bertie! Uspokój się, proszę!

Jessie nie wiedziała może zbyt dużo o wychowywaniu dzieci, natomiast miała absolutną pewność, że jeśli natychmiast nie uspokoi kochanego bratanka, to jej dni w Taplow Towers są policzone.

- Odnajdę mamusię i tatusia... Wkrótce. Obiecuję.

Z jakiegoś powodu Bertie nie wyglądał na przekonanego słowami cioci.

Jessie wzięła go na ręce i tuląc do siebie, podeszła do telefonu.

Nie, nie spodziewała się, że Kevin i Faye siedzą w do-

mu, czekając na telefon od niej. Nie była aż taka naiwna. Ale jednak było coś, co mogła zrobić. Mogła zostawić wiadomość dla nich. Bo chyba będą odbierali jakieś wiadomości?

Ku jej zdumieniu pod numerem telefonu Kevina i Faye czekała wiadomość dla niej.

- Jessie, kochanie, potrzebujemy snu. Desperacko potrzebujemy snu. I pomyśleliśmy, że skoro jesteś nie tylko ciotką Bertiego, ale i jego matką chrzestną, nie będziesz miała nic przeciwko, by...

W tle dał się słyszeć głos jej bratowej.

- Byłaś jedyną osobą, którą mogliśmy o to poprosić.

Poprosić?! - Jessie prychnęła z goryczą. Dobrze sobie. Nikt jej o nic nie prosił, bo odpowiedź mogła być tylko jedna: W Taplow Towers nikt nawet nie chciał słuchać o żadnych dzieciach!

- Ja i Faye musimy odpocząć przez kilka dni. Żadnych telefonów, żadnych dzieci - kontynuował Kevin.

- Pewnego dnia zrobimy dla ciebie dokładnie to samo, obiecuję!

- Świetnie! - skwitowała Jessie cierpko, spoglądając przy tym bezradnie na dziecko, które trzymała delikatnie w ramionach.

Bertie, jakby w końcu zdając sobie sprawę z powagi i nieodwracalności sytuacji, w jakiej właśnie się znalazł, skrzywił się, w każdej chwili gotów wydobyć z gardła odgłosy rozpaczliwego, dziecięcego szlochu, a z oczu potoki łez.

- Nie, Bertie, nie! - wykrzyknęła Jessie. - Proszę, skarbie!

Niestety, Bertie nie słuchał. W przeciwieństwie do całej reszty lokatorów Taplow Towers.

Patrick wyciągnął z portfela bilet. Do odlotu pozostał już niecały kwadrans. Uśmiechnął się pod nosem, wyobrażając sobie minę, jaką zrobi na jego widok osiemnastoletnia siostrzenica. Co jak co, ale Carrie nie spodziewa się go dzisiaj w Londynie, z całą pewnością będzie więc zaskoczona!

Rozmawiając z nią niedawno przez telefon, nie wiedział jeszcze, że sprawy przybiorą tak nieoczekiwany obrót. Miał przez najbliższe miesiące siedzieć na Bliskim Wschodzie, a tymczasem już wracał do domu.

Był zadowolony z takiego przebiegu rzeczy, tym bardziej że klient, co prawda nieoczekiwanie wycofał się ze sprawy, lecz jak przystało na człowieka uczciwego, zasilił konto Patricka całkiem okazałą sumą pieniędzy.

Jak widać, los uśmiechnął się dzisiaj również do Carrenzy. Będzie mogła wreszcie uwolnić się od zniechęcających fikusów swego wuja i dołączyć do paczki zwariowanych przyjaciół.

Może nawet tenże wuj z własnej woli zaproponuje jej jakąś małą sumkę na ten cel w zamian za obietnicę poprawy średniej ocen na półrocze?

- Więc jak? Odpowiada ci?

Czy odpowiada? W sytuacji bez wyjścia, w jakiej się znalazła, Jessie byłaby wdzięczna losowi za jakiegokolwiek cztery kąty z bieżącą wodą i nie przeciekającym dachem.

Co więcej, to właśnie mieszkanie miało jedną, niewątpliwą zaletę: było do wzięcia od zaraz.

- Mogę przenieść swoje rzeczy natychmiast - odezwała się w odpowiedzi, wciąż jeszcze nie mając pewności, czy wszystko, co dzieje się w jej życiu od jakichś dwudziestu ośmiu godzin, nie jest snem.

- Znakomicie! - Carenza Finch wyglądała wprawdzie niezwykle młodo jak na kogoś, kto mógłby być właścicielem tak dużego mieszkania, ale dla Jessie nie miało to w tej chwili najmniejszego znaczenia. - Potrzebuję kogoś, kto zajmie się nie tylko domem, ale i moim małym, słodkim Mao.

Czarne, wielkie kocisko uniosło łeb na dźwięk swego imienia i miauknęło przymilnie. Bertie z zaciekawieniem odwrócił się w jego kierunku, przerywając na chwilę masowanie swędzących dżiąseł o rękaw koszuli Jessie. Jessie natomiast spojrzała na kota z niemą wdzięcznością.

- Więc jak będzie? - Carenza najwyraźniej nie lubiła marnować czasu. - Cały czynsz z góry, podpis pod umową i mieszkanie jest twoje od zaraz. Na calutkie trzy miesiące. Aha, i jeszcze jeden dodatkowy czynsz, jako wadium.

Jessie przetarła zaspane powieki. Albo była już tak bardzo wykończona brakiem snu i nieustannym zajmowaniem się małym, że nie potrafiła trzeźwo ocenić sytuacji, albo rzeczywiście okazja, która jej się właśnie nadarzała, spadła prosto z nieba. Zdecydowanym ruchem podpisała umowę.

- Świetnie. - W odpowiedzi dziewczyna wręczyła jej pęk kluczy. - Mam nadzieję, że nie zapomnisz o kocie.

Mao uwielbia sardynki z puszki. Musisz tylko wyciągnąć z nich wszystkie większe ości i podawać mu jedzenie w jego ukochanej miseczce. I nie zapomnij o mleku... Aha, a co do figusów, to wszystko jest na kartce.

Jasne, skwitowała cierpko w duchu Jessie. Skarbie, czy mogłabym zrobić dla ciebie coś jeszcze?

Carenza pewnie nawet nie wiedziała, jakie miała szczęście, że trafiła właśnie na Jessie. Co jak co, ale można było na niej polegać. Bo czy w przeciwnym wypadku Kevin i Faye odważyliby się zostawić swego pierworodnego pod drzwiami jej mieszkania bez jednego słowa wyjaśnienia?

A swoją drogą może powinna zrobić coś na tyle nieodpowiedzialnego, by już nigdy, przenigdy coś podobnego nie przyszło im do głowy?

- Zostawiłaś jakiś numer telefonu, pod którym można cię złapać? No wiesz, na wszelki wypadek... - zapytała, odprowadzając Carenę pod drzwi. Nie, chyba nie umiałyby zapomnieć o poczuciu odpowiedzialności. To o wiele trudniejsze, niż jej się wydawało. - A numer pogotowia weterynaryjnego?

- Spokojnie. - Carrie uśmiechnęła się beztrząsko. - Zapewniam cię, że wszystko będzie w porządku.

Jessie nie potrafiła, niestety, podzielić jej optymizmu.

- Do zobaczenia za trzy miesiące! - usłyszała jeszcze, zanim Carrie na dobre zamknęła za sobą drzwi.

Trzy miesiące, powtórzyła w myślach Jessie. Do tego czasu nic już nie będzie wyglądało tak samo. I nie chodziło tu bynajmniej o Bertiego, po którego rodzice, stęsknieni i skruszeni, zjawią się pewnie lada dzień.



To, o czym myślała, to raz na zawsze utracone mieszkanie w Taplow Towers.

No, ale to nie była wcale wina biednego Bertiego. Przynajmniej nie bezpośrednio.

- Przepraszam, skarbie. - Jessie przytuliła dziecko mocno do siebie, gładząc pieśczośliwie jego ciemne loczki. Jej małutki bratanek był przecież najsłodsza i najpiękniejszą małą istotką, jaką kiedykolwiek widziała.

Tymczasem Bertie, niewiele rozumiejąc z rozterek targających jego ciotką, ani na chwilę nie odrywał wzroku od kota.

I wszystko byłoby wspaniale, gdyby nie fakt, że ta upiorna zwierzęca kreatura zdecydowała się nagle... wyjść. Usta dziecka wygięły się w podkówkę, a to nie zwiastowało nic dobrego.

- Kici, kici, kici - wyrzuciła z siebie w popłochu Jessie.

Osobiście nie miała co prawda nic przeciwko temu, żeby zwierzę znikło z domu na jakiś czas, ale skoro kot tak bardzo spodobał się małemu...

- Kici, kici, kici - powtórzyła. Niestety, kot miał najwyraźniej zupełnie inne plany na dzisiejsze popołudnie.

Carenza sięgnęła po gazetę leżącą na stoliku, złożyła ją na pół i przysłoniła powieki. Słońce paliło wprost niechętnie.

- Czy to nie jest przypadkiem twój wuj? - usłyszała głos Sarah. Przyjaciółka przekreśliła głowę w bok, by lepiej przyjrzeć się zdjęciu. - Kurczę, jest naprawdę przystojny!

- Daj spokój, mógłby być twoim ojcem. - Carenza

z niepokojem spojrzała w kierunku, w którym powędrował wzrok przyjaciółki. Tytuł artykułu, pod którym widniało zdjęcie Patricka, spowodował, że po jej ciele przebiegł nagły dreszcz. - O, zdaje się, że mam mały problem. Patrick wraca właśnie do domu, tego samego, który kilka dni temu wynajęłam jakiejś kobiecie z małym dzieckiem. Jak mogłam być aż tak głupia?!

- Masz w tym niemałą praktykę - odpaliła bez namysłu przyjaciółka.

Dom sprawiał wrażenie przytulnego i zadbanego. Przestronny, jasny hol, salon, dwa pokoje na górze, kuchnia z jadalnią i nieduże pomieszczenie, które Carenza pogardliwie nazwała graciarnią. Dziwne, ale ta młoda dziewczyna ze swą odważną fryzurą i kolczykiem w nosie zdawała się tu nie pasować. Jessie nie zaprzętała sobie jednak tym głowy.

Z paczką znalezionych w kuchni herbatników w jednym ręku, i z kubkiem herbaty w drugim, z przyjemnością zanurzyła się w olbrzymim, skórzanym fotelu stojącym w salonie. Bertie dopiero co zasnął.

Sama nie wiedząc jak i kiedy, wreszcie spokojna i odprężona, również ona zapadła w sen.

Patrick postawił walizkę na podłodze w holu i zamknął za sobą drzwi. Alarm nie był włączony.

Ach, ta Carenza, przebiegło mu przez głowę. Czy ta dziewczyna kiedykolwiek będzie w stanie nauczyć się chociaż odrobiny odpowiedzialności?

Jutro z samego rana wypiszę jej czek, podziękuję za

opiekę nad domem i wszystko wreszcie zacznie się toczyć normalnym rytmem. No, może jeszcze nie jutro, ale z pewnością już wkrótce.

Przestawienie biologicznego zegara z powrotem na czas europejski potrwa oczywiście kilka dni. Jak zawsze po powrocie z takiej dalekiej podróży. .

W Londynie był teraz środek nocy, ale Patrick nie czuł się zmęczony ani senny. Wręcz przeciwnie, był pełen energii i... nieludzko głodny.

Nie tracąc czasu na dalsze rozważania, otworzył drzwi kuchni, z nadzieją, że lodówka nie okaże się pusta.

Włączył światło. Jego spojrzenie spoczęło na sporych rozmiarów stosie brudnych naczyń. Postarał się zignorować ten widok.

Znacznie trudniej było mu zlekceważyć unoszący się w pomieszczeniu zapach. Zadziwiająca mieszanka delikatnej woni płatków mydlanych przemieszana z zapachem... rybek w oleju. Patrick ponownie wciągnął powietrze w nozdrza. Niestety, węch go nie mylił. Najwyraźniej Carenza zadomowiła się tu już na dobre.

Próbując zachować zimną krew, otworzył drzwi lodówki. Była niemal pusta.

- Mówiłem o jakimś czeku? - odezwał się sam do siebie. - Pomyliłem się. Carenza będzie mi dziękować za to, że może odejść żywa i cała, kiedy z nią jutro skończę!

Jessie zerwała się z miejsca. Miała wrażenie, że obudził ją jakiś hałas.

Gorączkowo i nieco chaotycznie rozejrzała się wokół w poszukiwaniu Bertiego.

Jeszcze tydzień takich emocji, a stanę się jednym kłębkim nerwów, przebiegło jej przez myśl.

Na szczęście dziecko spało spokojnie. Równie spokojnie, jak kot, który pojawił się bezszelestnie niczym duch i nie wiadomo kiedy. No cóż, ostatecznie znikł w ten sam sposób. Zwierzę przeciągnęło się leniwie przez sen, rozłożone bezczelnie na pościeli Bertiego.

Jessica uśmiechnęła się w duchu. Faye i Kevin umarliby zapewne ze strachu, widząc swego pierwotnego wtulonego słodko w miękką kocią sierść.

Wzięła kota w ramiona. Zaprotestował rozdrażnionym miauknięciem. Bertie przewrócił się niespokojnie na drugi bok.

Jessie otworzyła cicho drzwi pokoju, by zostawić kota po ich drugiej stronie. Dokładnie w tej samej chwili uświadomiła sobie, co tak naprawdę ją obudziło.

Ktoś był w kuchni.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Jessie stanęła jak porażona prądem. Miała dokładnie trzy wyjścia:

Wezwać natychmiast policję.

Krzyczeć ile sił w płucach.

Zabarykadować się w pokoju razem z dzieckiem i kotem z nadzieją, że złodziej znajdzie to, czego szuka, i wyniesie się z domu.

Odstawiła kota z powrotem na podłogę.

Może jednak krzyczeć? Albo stanąć z łotrem twarzą w twarz? Krzyczeć?

Chwileczkę, jest przecież telefon komórkowy. Mogłaby bez przeszkód wezwać policję!

Rozejrzała się wokół, próbując wziąć się w garść. Telefon komórkowy, telefon komórkowy... Tylko gdzie on, do diabła, może być?!

Po chwili uspokoiła się. Był dokładnie tam, gdzie go zostawiła. W jej torbie, na dole, przy stole w kuchni. Czyli w pomieszczeniu, które właśnie plądrował złodziej.

A to oznaczało powrót do pomysłu numer dwa. Krzyczeć ile sił w płucach.

Ależ była głupia! Dlaczego, do diabła, uważała, że jej życie nie może się już bardziej skomplikować?

Nie, chyba jednak nie powinna wszczynać głośnego

alarmu. Krzyk na pewno obudzi Bertiego, no i przestraszy biednego kota. Natomiast złodziej prawdopodobnie nawet nie wpadnie w popłoch. Co gorsza, może przyjść na górę, by sprawdzić, co się dzieje. A jeśli ją zaatakuje albo na przykład postrzeli? Przez jeden krótki moment taki rozwój wypadków wydał się Jessie nawet pewnego rodzaju wybawieniem. Na szczęście trwało to tylko jeden krótki moment.

W takim razie trzeba wymyślić coś innego. Barykada? A może jednak konfrontacja oko w oko?

Jessie głośno przełknęła ślinę.

Nie włączając górnego światła i starając się jak najmniej hałasować, otworzyła drzwi szafy. Zdziwiła się nieco, widząc jej zawartość. Wszystkie wieszaki zajęte były przez jakieś dziwne, ciemne, identycznie wyglądające części garderoby. Garnitury?

Przynajmniej tak jej się wydawało w panującym w pokoju półmroku.

Ach, ta Carenza, westchnęła Jessie w duchu. Mogła przynajmniej opróżnić szafę i zabrać swoją dziwną garderobę przed wyruszeniem na długie, trzymiesięczne wakacje!

Ale do diabła z Carenzą! Prawdę mówiąc, to nie ona stanowiła teraz główny problem Jessie.

Spodziewała się znaleźć w szafie jakiś duży, odpowiednio ciężki, zakończony ostrym metalowym szpicem parasol.

Pod palcami wyczuła zagadkowy kształt. Pociągnęła niezidentyfikowany przedmiot w swoim kierunku. Ostrożnie, ale mocno.

Rakieta tenisowa? Doskonale!

Dziwne, bo Jessie jakoś nie mogła wyobrazić sobie Carenzy na korcie, ale teraz nie czas na takie filozoficzne rozważania.

Pewniejsza i dużo spokojniejsza, ściskając kureczowo uchwyt rakiety w palcach, nacisnęła delikatnie na klamkę, wsłuchując się jednocześnie w odgłosy dochodzące z dołu.

Zanim zdążyła zorientować się, co się dzieje, kot zbiegał już po schodach.

Patrick otworzył szerzej drzwi lodówki. Jego wzrok spoczął na otwartym kartoniku mleka. Zbliżył pojemnik do nosa. Mleko było świeże.

Odstawił je na bok i ponownie rozejrzał się po półkach. Na jednej z nich zauważył mały, ceramiczny talerzyk. Patrick podsunął go bliżej. Zawartość przypominała rozgniecione widelcem rybki w oleju. Roznoszący się wkoło zapach upewnił go, że jego podejrzenia były jak najbardziej słuszne.

Już, już miał się zabierać do skonsumowania zawartości talerzyka, kiedy nagle coś miękkiego i przyjemnie ciepłego otarło się o jego łydkę.

Opuścił głowę. Pod jego stopami, wpatrzony intensywnie w talerzyk z rybkami, stał... czarny kot.

Patrick wzdrygnął się. Uniósł stopę, by nie nadepnąć zwierzęcia. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, skąd ten kocur wziął się w jego domu.

Niestety, jego akrobatyczne wygibasy spowodowały, że stracił równowagę i, chwytając się po drodze drzewi-

czek lodówki, znalazł się nagle na podłodze. Tuż obok rozlanego mleka, rozgniecionych sardynek w oleju i resztek potłuczonego talerzyka.

Uszu Jessie, skradającej się cichutko w kierunku drzwi kuchennych, dobiegł nagły rumor. Natychmiast zamarła bez ruchu.

Co to, do diabła, mogło być? Złodziej pokonał kota, czy też może kot pokonał złodzieja?

Cokolwiek się tam działo, nadszedł właśnie odpowiedni moment, by niezwłocznie wkroczyć do akcji.

Z sercem, które przemieściło się gdzieś na wysokość gardła, i z pięścią kurczowo zaciśniętą na rączce rakiety zrobiła krok do przodu, wysuwając jednocześnie głowę zza framugi drzwi. Widok, który ukazał się jej oczom, okazał się być o wiele bardziej zagadkowy, niż była sobie w stanie wyobrazić.

Na podłodze, pośród resztek rozlanego mleka, w tłu-  
stej plamie czegoś, co przypominało rybki w oleju, ze śladami krwi z tyłu głowy, leżał włamywacz.

Jeden zero dla kota, przebiegło jej przez głowę lotem błyskawicy.

Mężczyzna nie poruszał się. Jessie przyjrzała mu się wnikliwie.

Jego wygląd upewnił ją, że ma do czynienia z prawdziwym zawodowcem. Takim, o jakich czyta się w książkach lub wyczyny których ogląda się w filmach kryminalnych.

Od stóp do głów odziany był w czerni. Czarne buty, czarne skarpetki, wystające spod nogawek czarnych spod-



ni. Nawet koszula, której podwinięte rękawy opinały umięśnione przedramiona, była czarna.

Wysoki, wysportowany i niewątpliwie dość silny. Pokonałby ją jednym ruchem, nawet gdyby dzierżyła w ręku nie jedną, a trzy rakietę tenisowe.

Na szczęście był ranny.

Chociaż może nie do końca.

Mężczyzna otworzył powieki i spojrzał na nią szczerze zdziwiony.

- Ani kroku dalej! - zawołała, celując w jego stronę ręką rakiety.

Uśmiechnął się błado.

No tak, rzeczywiście. Wobec jego sytuacji żądanie Jesse zabrzmiało cokolwiek niepoważnie, żałośnie i wyjątkowo śmiesznie.

Patrick zatrzymał wzrok na suficie. Był to sufit kuchni, Jego kuchni. On sam leżał na podłodze. Jak to się, do diabła, stało?

Jakby tego było mało, w otwartych na oścież drzwiach stała rozczochrana, na wpół naga kobieta, celując w niego jego rakieta tenisową. Czy to od tej jędzy przed chwilą oberwał? Czy właśnie dlatego wylądował na podłodze?

Poruszył się. Tył głowy zapiekł go boleśnie.

- Nie ruszaj się! - powtórzyła kobieta nerwowo.

Jej słowa zamiast przerażenia wywołały jego wściekłość. Nie zamierzał się ruszać. Miał wrażenie, że boli go całe ciało, a potłuczona głowa zaraz pęknie. Jedyne, co powstrzymywało go od wybuchu furii, to błoga nadzieja,

że to wszystko mu się śni. Zamknie powieki, potem otworzy je ponownie, a kobieta, jej kot i ten cholerny ból po prostu znikną.

Spróbował, czy to podziała.

Włamywacz ponownie zamknął powieki. Widocznie musiało być z nim naprawdę źle. Jessie zrobiła krok do przodu.

Rana na głowie nie wyglądała dobrze.

Świetnie, pomyślała Jessie wściekłe. Jedyne, czego jeszcze mi brakowało do pełni szczęścia, to trup! Aresztują mnie, a potem wsadzą do więzienia.

Oczami wyobraźni Jessie już widziała nagłówki jutrzejszych gazet: „Zraniony włamywacz zmarł w drodze do szpitala”, „Zabójczym osadzona w więzieniu”.

- Świetnie! - powtórzyła głośno.

Niezależnie od tego, jak złym człowiekiem mógł być leżący na podłodze mężczyzna i z jak nieczystymi zamiarami pojawił się w jej domu, niewątpliwie potrzebował teraz pomocy. Trzeba będzie wezwać lekarza.

Rakieta tenisowa stuknęła głucho o podłogę. Jessie zrobiła jeszcze jeden krok do przodu. Omijając kałużę mleka, z drżącym ze strachu sercem stanęła tuż przy ranym włamywaczu.

Nawet unieszkodliwiony wydał się jej nad wyraz niebezpiecznym bandziorem. Ogromny i silny... Nie mogła go jednak zostawić na pastwę losu.

Delikatnie i z pewnymi oporami dotknęła jego głowy w okolicach rany.

Z ust mężczyzny dobyło się ciche syknięcie. W tym

samym momencie jego dłoń zacisnęła się na nadgarstku Jessie.

- Kim ty, do diabła, jesteś?! - mruknął chrapliwie.

- Jessie - odpowiedziała posłusznie, starając się nie rozdrażnić go żadnym fałszywym ruchem. - Mam na imię Jessie. Jak się czujesz?

- A jak wyglądam? - odpowiedział mężczyzna.

Fakt. Nie wyglądał najlepiej. I to nie tylko z powodu strużki krwi ciekącej nieprzerwanie z rany na głowie. Cienie pod oczami i dwudniowy zarost również nie dawały mu uroku.

Jessie, sama nie bardzo wiedząc w jakim celu, położyła palce na jego szyi, starając się wyczuć puls. Jego skóra była ciepła i przyjemnie aksamitna.

- I jak? - odezwał się. - Żyję jeszcze?

- Taak...

- Wołałbym, żeby twój głos brzmiał trochę bardziej przekonująco - podsumował, ironicznie krzywiąc wargi. - Jednak nie będę protestował, jeśli uznasz, że sztuczne oddychanie jest tym, czego potrzeba mi najbardziej.

Przez jeden króciutki ułamek sekundy zastanawiała się, czy on przypadkiem nie ma racji. Na szczęście otrząsnęła się szybko.

Jeśli włamywacz czuł się na tyle dobrze, by sobie z niej żartować, to z całą pewnością przeżyje również policyjne śledztwo. Pora działać, nie ma ani chwili do stracenia.

Gdzie się podziała ta cholerna komórka? Jessie rozejrzała się bezradnie po pomieszczeniu. Jej torebka stała tam, gdzie ją zostawiła, oparta o nogę kuchennego stołu.

Wstała, by po nią sięgnąć. Dokładnie w tym samym momencie palce mężczyzny zacisnęły się na jej nadgarstku jeszcze mocniej. Jessie poczuła, jak przeszywa ją dreszcz przerażenia.

Tego było już za wiele. Cała jej odwaga i zdeterminowanie prysły nagle jak mydlana bańka, a ona sama zrobiła wreszcie to, na co miała ochotę od samego początku. Otworzyła szeroko usta i... zaczęła krzyczeć.

Patrick, który w pierwszej kolejności postanowił się dowiedzieć, co Jessie robi w jego domu i gdzie podziała się Carenza, nagle zmienił zdanie. Uciszenie dzikiego, upiornego wrzasku stało się sprawą priorytetową.

Ni stąd, ni zowąd kobieta zamilkła. Patrick nie zdążył się jeszcze nawet nacieszyć nieoczekiwaną zmianą sytuacji, kiedy nagle poczuł na sobie ciężar kobiecego ciała. Oczy Jessie, teraz rozszerzone strachem, znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od jego oczu.

- Proszę, nie mów nic więcej! - wyszeptał. - Nie mam pojęcia, kim jesteś i co tutaj robisz, ale poddaję się. Wygrałaś!

- Wygrałam? - zapytała niepewnie.

Nawet dla jej własnych uszu jej głos brzmiał co najmniej histerycznie. Na szczęście teraz wreszcie odczuła ulgę, a poza tym odzyskiwała zdrowy rozsądek i przyjemność umysłu.

A wraz z nimi przyszła świadomość, że oto leży właśnie, niemal naga, na ciele całkiem przystojnego włamywacza. Poza o kilka numerów za dużym podkoszulkiem Jessie nie miała na sobie nic.

Musiała działać natychmiast. Powinna tylko unieść

głowę, spojrzeć mężczyźnie prosto w twarz i powiedzieć zdecydowanie...

To była całkiem interesująca twarz. Z rodzaju tych, na których w każdych innych warunkach zawiesiłaby oko. Szczupła, z silnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i zgrabnym nosem. I te usta.. Usta, które obiecywały pełnię zmysłowych doznań...

- Wygrałam? W jakim sensie? - zapytała, z trudem odrywając wzrok od jego warg i skupiając się na jego oczach.

Niestety i to posunięcie okazało się błędem. To były najbardziej zagadkowe oczy, jakie w życiu widziała. Szare, z wyraźnymi złotymi refleksami, które zdawały się ogryzewać spojrzenie nieznajomego.

- W każdym - odezwał się. - Tylko proszę, nie krzycz już więcej. Nawet nie będę cię pytał, skąd się tutaj wzięłaś.

- Ja?! A czy to ja włamałam się do cudzego domu?!

- Ach, więc tak brzmi twoja historia?! - Oburzenie w jego głosie wydawało się szczere.

Korzystając z chwili jego nieuwagi, Jessie zerwała się na równe nogi. Szybkim spojrzeniem zlokalizowała położenie rakiety tenisowej.

- Nie ruszaj się! - wykrzyknęła. - Słyszałeś? Ani kroku! Zaraz wezwę karetkę.

I nie zwlekając dłużej, podbiegła do swej torebki i wyszarpnęła z jej przepastnego wnętrza telefon komórkowy.

Połączenie z pogotowiem uzyskała po dwóch, trzech sekundach, które jednak wydały się wiecznością. Pielęgniarka chciała znać szczegóły.

- Nie mam pojęcia, co to za człowiek - odpowiedziała niecierpliwie Jessie. - Widzę go pierwszy raz na oczy. Włamał się po prostu do mojego domu i...

- Do twojego domu?! - usłyszała nagle oburzony głos mężczyzny. - To mój dom!

Majaczył. Musiało być z nim o wiele gorzej, niż sądziła. Może cierpiał nawet na jakieś zaburzenia psychiczne? Tylko nie to...

Ciekawe, czy od dawna obserwował okolicę? I czy czekał, aż Carenza opuści dom?

Mężczyzna przyglądał jej się uważnie. Jessie zrobiła kilka kroków do tyłu.

- Tak, jest ranny - rzuciła nerwowo do słuchawki. - I zachowuje się dość dziwnie... Obawiam się, że doznał poważnych uszkodzeń... Może to wstrząśnienie mózgu?

Słyszac to, włamywacz parsknął śmiechem. Zignorowała go.

- Zechcieliby państwo powiadomić również policję? - poprosiła. - Dziękuję. Będę czekać.

Włamywacz z trudem podźwignął się na ramieniu i wspierając się na stojącym nieopodal krześle, spróbował wstać.

- Powiedz - odezwał się, między jednym a drugim sapaniem. - To ty zwariowałaś, czy to rzeczywiście ze mną jest coś nie tak? - spytał bez emocji, jakby naprawdę zależało mu na poznaniu prawdy.

- Tylko spokojnie - odezwała się w odpowiedzi Jessie. Jej kolana drżały jak trzcina na wietrze. - Pomoc powinna nadejść lada chwila.

- To chyba jednak rzeczywiście ja oszalałem - skwitowałem beznamyślnie. - Tylko dlaczego to wszystko musiało spotkać mnie w moim własnym domu? I skąd wziął się tutaj kot?

- Zaskoczę cię, ale ten dom nie jest twój. A kot należy właśnie do właścicielki mieszkania.

- Nienawidzę kotów, a jeszcze bardziej nie znosi ich mój pies. Jednak przede wszystkim powinnaś mi wyjaśnić, co ty tutaj właściwie robisz?!

Pies? Czy on wspomniał coś o psie? Jessie rozejrzała się nerwowo. Pomyłony włamywacz i jego pies! Doprawdy, nic gorszego nie mogło jej dzisiaj spotkać.

Na szczęście nie zauważyła niczego, co choć w przybliżeniu byłoby podobne do psa. Po chwili ponownie popatrzyła na mężczyznę.

- Z przyjemnością... - zaczęła. W tym samym momencie na górze dał się słyszeć płacz Bertiego. - Wyjaśnię ci, kim jestem i co tutaj robię. Za chwilę. Najpierw muszę sprawdzić, co u dziecka.

- Dziecko?! - Włamywacz wyglądał jak ktoś, kto osiągnął właśnie najwyższy stan osłupienia. - Jesteś tu z dzieckiem?!

- Ząbkuje, biedactwo - wyjaśniła, robiąc krok nad sporych rozmiarów walizą, stojącą na podłodze. Waliza była czarna, skórzana i z pewnością bardzo droga. Musiał ukrąść ją w czasie którejś z wcześniejszych akcji, przebiegło Jessie przez myśl.

Nie oglądając się za siebie, zniknęła na schodach prowadzących na górę.

Bertie, wpychając obie dłonie do buźki, popłakiwał

żałośnie. Jessie podała chłopcu gryzaczek, a przy okazji stwierdziła, że małego trzeba przewinać.

Pieluszki były na dole. W kuchni. Tam, gdzie leżał włamywacz.

Dziecko? Więc stąd ten zapach. Ciepłe mleko, dziecięce mydełko, oliwka, zasyпка. Jak mógł zapomnieć?

Patrick chwycił się blatu kredensu i starając się ignorować pulsujący w skroniach ból, spróbował wstać.

Kiedy po pogrzebie wrócił do domu, miał wrażenie, że wszystko przesiąknięte było tym zapachem. Jedyne, czego pragnął, to wyprowadzić się stąd, zmienić otoczenie, uwolnić się od wspomnień.

Całe tygodnie zajęło mu uporanie się z rzeczami Belli i dziecka. Jeszcze dłużej trwało, nim zrozumiał, że ten zapach, tak niegdyś bliski, a tak bardzo teraz zniechędzony, istniał bardziej w jego głowie niż w rzeczywistości. I że jakakolwiek zmiana czy ucieczka nie mają sensu.

W otwartych drzwiach kuchni pojawiła się jakaś postać. Na twarzy Patricka odmalowała się ulga.

- Całe szczęście, że już jesteście! - zwrócił się do stojącego w progu policjanta. - W moim domu jest jakaś obłąkana kobieta! Uderzyła mnie w głowę rakiętą tenisową.

- Proszę zachować spokój, zaraz przyjedzie pomoc.

- Na twarzy policjanta nic drgnął ani jeden mięsień. - W tym czasie może odpowie mi pan na kilka pytań. Pana nazwisko?

- Dalton. Patrick Dalton.

- Adres? - zapytał policjant, cały czas zapisując coś w notatniku.



- Ulica Cotswold numer dwadzieścia siedem.  
- To tutaj.  
- Oczywiście, że to tutaj. Nazywam się Patrick Dalton i to jest mój dom - odpowiedział, starając się zachować spokój.

Policjant dopisał w notatniku kilka słów.

- Zdaje się, że karetka już przyjechała. W takim razie dokończymy w szpitalu - postanowił.

W porządku, skwitował w duchu Patrick. Tym bardziej że ból stawał się powoli nie do zniesienia.

Jednak gdy po opuszczeniu szpitala ponownie znajdzie tę szaloną kobietę w swoim domu, z przyjemnością wyrzuci ją za drzwi. Ją, jej dziecko i jej kota. Zaraz po tym, jak dowie się, co porabia Carena.

- Proszę opowiedzieć, co się stało - policjant odezwał się spokojnym, pozbawionym emocji tonem. - Po kolei. Pan Dalton twierdzi, że zaatakowała go pani rakieta tenisową.

- To kłamstwo! Dalton, tak się nazywa?

- Przynajmniej tak nam powiedział. Ma na głowie całkiem sporą ranę.

- Jak przypuszczam, sam jest sobie winien. Potknął się pewnie o coś, stracił równowagę i wylądował na ziemi. Nie mam zielonego pojęcia, czego szukał w lodówce.

- Pan Dalton twierdzi, że to jego dom.

-- Wiem, mnie też opowiadał takie bajeczki. Ale to wierutna bzdura! Wynajęłam ten dom od jego właścicielki, pani Careny Finch. Dopiero co się wprowadziłam. Może pan Dalton cierpi na schizofrenię?

- Być może. - Mężczyzna odchrząknął. - Dziwne, ale nie widać śladów włamania. Wybacz pani, lecz muszę zadać to pytanie... Czy tu przypadkiem nie chodzi o jakąś kłótnię?

- Kłótnię?

- No wie pani, nieporozumienie dwojga kochanków czy coś w tym rodzaju...

- Ależ... - Jessie poczuła, jak głos więźnie jej w gardle. - Ależ ja widziałam tego mężczyznę po raz pierwszy w życiu! Mówiłam już panu, dopiero, co się wprowadziłam. Właścicielka domu wyjechała za granicę. Potrzebowała kogoś do opieki nad domem, kotem i roślinami. Jej domem, - jej kotem i jej roślinami. Czy to przestępstwo?

- Oczywiście, że nie, proszę się uspokoić. Czy chciałaby pani jeszcze coś dodać?

- Włamywacz zostawił tutaj swoją walizkę. Dość ekskluzywną zresztą. Podejrzewam, że to nie była jego pierwsza robota dzisiejszego wieczora.

Policjant zapisał coś w notatniku i ruszył w kierunku, który wskazała Jessie.

- Co stanie się teraz z panem Daltonem, zakładając oczywiście, że to jego prawdziwe nazwisko.

Policjant uniósł bagaż do góry, przyglądając się uważnie plakietce przyklepionej do rączki.

- Patrick Dalton - przeczytał. - Brak adresu.

- Mówiłam panu, prawdopodobnie ukradł tę walizkę, a wraz z nią i nazwisko. - Jessie uniosła bezradnie wzrok ku górze. - Tylko dlaczego musiał wybrać akurat mój dom?

A co jeśli jednak mówił prawdę, przebiegło jej nagle przez myśl. Jeśli i walizka, i nazwisko, i dom rzeczywiście należały do niego? Czy mężczyzna o takim szczerym spojrzeniu mógłby ją okłamać?

Bzdura, upomniała w myślach samą siebie. Tony miał spojrzenie, które obiecywało wybrance serca wszystkie cudzy świata. I co z tego? Przysięgła sobie przecież, że już nigdy w życiu nie pozwoli się oszukać.

- W porządku. - Policjant zamknął notatnik i schował go do kieszeni munduru. - To powinno wystarczyć. Proszę dokładnie zamknąć drzwi, włączyć alarm i najlepiej położyć się z powrotem do łóżka.

- Tak zrobię. Dziękuję.

Jednak nie poszła spać. Dawka adrenaliny, jaką zapewnił jej przystojny włamywacz, skutecznie niweczyła wszelkie próby zaśnięcia. Zamiast męczyć się w łóżku, Jessica dokładnie posprzątała kuchnię, a potem zasiadła przed ekranem komputera, usilnie próbując zapomnieć o wydarzeniach mijającego dnia.

- Kevin, ja już dłużej nie wytrzymam. Tak bardzo za nim tęsknię!

- Wiem, kochanie, ja również. Dlaczego ona się do nas nie odzywa? Ta cisza aż kłuje w uszy! Faye, pamiętaj, obiecaliśmy sobie, że odpoczniemy przynajmniej przez tydzień.

- Wiem, pamiętam, ale...

- Jessie jest najbardziej odpowiedzialną osobą, jaką znam. Poza tym zostawiłaś jej tyle wskazówek, że można by na ich podstawie napisać gruby poradnik. W razie jakichkolwiek problemów na pewno...

- No właśnie, co wtedy zrobi?
- To, co zawsze. Znajdzie najlepsze wyjście z sytuacji. Wracaj do łóżka, kochanie. Nie marnujmy niepotrzebnie czasu!

Dopiero co zaczynało świtać, kiedy Bertie głośnym płaczem oznajmił, że nie zamierza już dłużej spać.

- Głodny? - Jessie zerwała się od biurka i podbiegła do dziecka. Musiała chyba przysnąć na dłużej, bo teraz była bardzo oszołomiona. - Zobaczmy, jak można temu zaradzić.

Z dzieckiem na ręku, ziewając co chwila i przecierając powieki, udała się do kuchni.

Filiżanka świeżo zaparzonej herbaty dla niej i butelka mleka dla Bertiego... To powinno ich natychmiast postawić na nogi.

Nagie jej wzrok przykuła wyraźna rysa, biegnąca wzdłuż krawędzi kredensowego blatu.

Czy to pamiątka po wczorajszym wypadku pana Daltona? O ile rzeczywiście tak właśnie brzmiało jego prawdziwe nazwisko. Może i był podłym zbirzem, ale nieźle oberwał. Biedaczek.

A gdyby tak odwiedziła go dzisiaj w szpitalu?

Jasne, z bukietem świeżych kwiatów w dłoni, szydziła w duchu sama z siebie. Pan Dalton z pewnością siedzi już w więziennej celi, czekając na rozprawę.

A swoją drogą ciekawe, co popchnęło tak sympatycznie i porządnie wyglądającego człowieka na drogę przestępstwa? Słaby charakter?

- Jest mi niezmiernie przykro, panie Dalton, z powodu tego nieprzyjemnego incydentu, ale biorąc pod uwagę okoliczności, mój oficer nie miał najmniejszego powodu wątpić w prawdziwość pani Hayes.

- Domyślam się, że ona sama również wierzyła w to, co zeznała.

- Więc nie zamierza pan wnieść skargi?

- Skargi? Nie mam powodu. Podejrzewam, że pod moją nieobecność siostrzenica wynajęła dom tej kobiecie. Biedaczka, pewnie nie miała o niczym pojęcia. - Patrick dotknął delikatnie opatrunku na głowie i skrzywił się nieznacznie. - To wina Carenzy.

- Rozumiem. W takim razie proszę, oto pana bagaż. Proszę za mną, podwiozę pana.

Kuchnia była czysta. Bertie, nakarmiony i przewinięty, zapadł w ponowną drzemkę. Najlepsze, co Jessie mogła teraz zrobić, to wziąć prysznic i spróbować odrobić się zrelaksować.

Łazienka była raczej sporym, luksusowo wykończonym salonem kąpielowym. Grzechem byłoby nie korzystać z niej do upojenia.

Nie namyślając się dłużej, postanowiła wziąć długą, ciepłą, relaksującą kąpiel. Sięgnęła po elegancki, szklany flakonik z mydłem w płynie. Wokół rozniósł się przyjemny, korzenny zapach.

- Jest pan całkowicie pewien, że nie potrzebuje mojej pomocy? - Policjant najwyraźniej czuł się niezmiernie zakłopotany faktem, że jeden z jego podwładnych dopu-

ścił się aresztowania Patricka Daltona w jego własnym domu.

Chodziło przecież nie tylko o znakomitego prawnika, ale i najmłodszego chyba w historii doradcę królowej.

- Sądzę, że dam sobie radę. W razie czego mam ze sobą wczorajszą gazetę z moją podobizną na pierwszej stronie. A co do ostatniej nocy, to obiecuję, że jeśli nie będzie pan o tym opowiadał, to ja również nie zamierzam.

- To bardzo wspaniałomyślne z pana strony. Dziękuję.

Patrick wysiadł z samochodu. Z gazetą pod pachą i bagażem w ręku ruszył przed siebie. Skronie pulsowały mu tępym bólem, ale mimo to szybko i bez przeszkód dotarł pod drzwi swego domu. Wyciągnął klucz z kieszeni i otworzył zamek. Tym razem alarm był włączony.

Patrick wszedł do środka.

- Dzień dobry! - zawołał, stawiając na podłodze walizkę i odkładając gazetę na stolik w holu. - Czy jest tu kto?

Odpowiedziała mu cisza.

Tak samo jak wczoraj pierwsze kroki skierował w stronę kuchni. I znów uderzyła go w nozdrza znajoma woń, ożywiająca wspomnienia.

Mydełko dziecięce i ciepłe mleko, pomyślał ze ściśniętym sercem.

Przez jedną krótką chwilę poczuł się tak, jakby czas cofnął się wstecz o dziesięć długich, przeraźliwie smutnych lat. Jego twarz wykrzywiła się boleśnie, lecz tym razem powodem nie był wczorajszy uraz głowy.

Cisza, jaka panowała wokół, niemal dzwoniła w uszach. Najwyraźniej dom był pusty.

Może wyszła, zabierając ze sobą dziecko? - pomyślał z dziwną mieszaniną ulgi i rozczarowania.

Zmęczony i niewyspany postanowił odłożyć wszelkie rozmyślenia i działania na później

Gończy prysznic i kilka godzin solidnego snu - oto czego mu teraz było potrzeba. Na resztę przyjdzie czas później.

Ziewnął przeciągle i skierował się do łazienki, rozpinając po drodze guziki koszuli. Właśnie ściągał ją z siebie, gdy nagle stanął jak wryty. Gwałtownie zatrzymał się w drzwiach, nie wierząc własnym oczom

Jessica Hayes leżała w wannie. Jej włosy, niedbale związane tasiemką, okalały uroczymi loczkami wilgotną twarz. Spod niezbyt obfitych kłębow białej kąpielowej piany prześwitywało nagie ciało. Jessica miała przymknięte powieki. Spała.

Patrick przełknął ślinę.

Zapamiętał ją jako wściekłą jędzę, wymachującą zajadłe rakieta tenisową. Słodka i niewinna panna Hayes, jaką zobaczył dzisiaj, spodobała mu się o wiele, wiele bardziej.

### ROZDZIAŁ TRZECI

Patrick Dalton zrobił krok do tyłu.

Obiektywnie rzecz biorąc, miał wszelkie prawa do tego, by zostać na miejscu. Bądź co bądź był to w końcu jego dom i jego łazienka. Osoba, która powinna natychmiast opuścić to miejsce, była bez wątpienia Jessica Hayes.

Tłumaczenie, że wynajęła mieszkanie od jego siostrzenicy, było co najmniej śmieszne. Jak ktokolwiek przy zdrowych zmysłach mógł w ogóle podejrzewać, że osiemnastoletnia panienska z purpurową fryzurą na głowie i kolczykiem w nosie może posiadać cokolwiek, nie mówiąc już o ekskluzywnym domu na przedmieściach Londynu?

Faktem jednak było, że to on, nikt inny, znany i ceniony prawnik i doradca królowej, nie miał pojęcia, jak wybrnąć z zaistniałej sytuacji.

Cofnął się jeszcze o krok, ani na chwilę nie unosząc wzroku, jakby nie chciał obudzić śpiącej w jego wannie kobiety.

Niepotrzebnie tak się starał. Jej powieki ani drgnęły.

Pamiętał dokładnie kolor jej oczu. Śródziemnomorski błękit. Nie do końca niebieski i nie do końca zielony.



A swoją drogą ciekawe, w jaki sposób udało mu się to wczoraj zauważyć?

Jej usta były różowe, lekko rozchylone, pozbawione śladów jakiegokolwiek kosmetyku. Szeroko rozpostarte ramiona sugerowały, że ich właścicielka jest odprężona i zrelaksowana.

Wzrok Patricka ześlizgnął się niżej, zatrzymując się na prawym udzie kobiety, gdzie spod bąbelków białej piany wystawał dyskretny tatuaż.

Odchrząknął. Poczuł, jak jego bombardowane tysiącem bodźców ciało sztywnieje nagle, jakby nie mogło sobie poradzić z nadmiarem wrażeń. I co dziwniejsze, po raz pierwszy od bardzo dawna powodem takiego stanu rzeczy nie były wspomnienia, a żywa, całkowicie materialna kobieta.

Jessie poruszyła się.

Powinien wyjść stąd jak najszybciej, zanim ją na dobre przebudzi i śmiertelnie przerazi.

Nie zdążył uczynić nawet kroku, gdy w pokoju obok rozległ się płacz dziecka.

Dziecko! Jak to się stało, że o nim zapomniał? Wstrzymał oddech.

Jessie drgnęła niespokojnie.

Nie namyślając się dłużej, cofnął się za drzwi łazienki.

- Już idę, skarbie! - usłyszał. Wenus w jego łazience pospiesznie wynurzyła się z piany i wytarła ciało ręcznikiem. Jej głos brzmiał słodko i spokojnie.

Patrick zajął do pokoju, skąd dobiegał płacz dziecka.

Chłopczyk, rozbudzony nagie, kręcił się niespokojnie w łóżeczku, bezradnie wyciągając rączki do góry.

Patrick instynktownie, jak zahipnotyzowany, podszedł do niego i chwycił w ramiona. Płacz ustał. Znow poczuł woń dziecięcego mydełka i ciepłego mleka.

Jessie nadstawiła ucha. Najwyraźniej Bertie znalazł sobie jakieś chwilowe pocieszenie, bo niespodziewanie przestał płakać. Może jednak da sobie z nim radę łatwiej, niż sądziła?

- Jeszcze chwileczkę, Bertie! - zawołała uspokajająco. - A co powiedziałaś na mały spacer?

Rozejrzała się wokół, szukając czegokolwiek, czym mogłaby się okryć. Jej wzrok zatrzymał się na białym, mięciutkim szlafroku.. Sięgnęła po niego. Był o wiele za duży na to, by należeć do Carenzy, ale nie zaprzętała sobie tym głowy.

Spokojnie, podśpiewując sobie wesoło, stanęła w drzwiach pokoju.

Stanęła i... omal nie umarła z wrażenia.

W pokoju, trzymając w ramionach Bertiego, stał włamywacz we własnej osobie. Wydał jej się jeszcze potężniejszy niż wczoraj.

- Tylko nie krzycz! - odezwał się szybko. - Bardzo cię proszę, nie krzycz.

Jego obawy były całkowicie nieuzasadnione. Nawet gdyby chciała, i tak nie byłaby w stanie wydobyć z siebie głosu. Jej gardło odmówiło posłuszeństwa.

- Płakał... - kontynuował tymczasem mężczyzna - ... więc wziąłem go na ręce. Mam ci go podać?

Jessie w milczeniu pokiwała głową.

Żadnych głupstw, upomniała w duchu samą siebie. Pamiętaj, żadnych głupstw. Ten szalenięć gotów jeszcze

zrobić krzywdę tobie i dziecku. Nie wolno mu się sprzeciwić. Pod żadnym pozorem.

Starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, jak we śnie wyciągnęła ramiona w stronę Bertiego. Włamywacz nie oponował.

Spróbowała się uśmiechnąć, jednak mięśnie jej twarzy stanowczo nie chciały współpracować.

Tylko spokojnie, powtarzała sobie w duchu. Tylko spokojnie. Za nic na świecie nie może dać po sobie poznać, że jest przerażona. Rzykuje przecież życiem. I to nie tylko swoim!

Jak on się tu dostał? - przemknęło jej przez myśl. I po co wrócił? Widocznie musi tu być coś naprawdę wartościowego, skoro odważył się aż tak ryzykować.

Patrick zaklął w duchu.

I coś ty najlepszego narobił? - złorzeczył samemu sobie w duchu. Przecież to biedactwo gotowe mi tu zaraz zemdleć.

- Płakał - odezwał się możliwie jak najdelikatniej.  
- Chciałem go tylko uspokoić. No, idź do swojej mamusi, kolego.

Włożył chłopca w ramiona kobiety. Przez chwilę obawiał się, czy nic jest przypadkiem zbyt roztrzęsiona na to, by zająć się dzieckiem. Przytrzymał chłopca, dotykając przy okazji również ramion Jessie.

- Chodź, maleńki - wyszeptwała pieszczotliwie i zwracając się w stronę Patricka, spytała: - Rozumiem, że uciekłeś?

- Co?

Szlafrok, który miała na sobie, zresztą jego własny, był

miękki i przyjemny w dotyku. Jej wilgotne włosy pachniały słodyczą i świeżością. Jedyne, czego teraz pragnął, to sprawić, by ta chwila trwała jak najdłużej. Dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że Jessie z pewnością zupełnie inaczej zapatruje się na sytuację.

- Nie zrozum mnie źle, ale zaszło tu chyba jakieś nieporozumienie... - zaczął. - Trzymasz go?

- Tak. Muszę go przewinąć. - Ruszyła do przodu. - Jego rzeczy są na dole.

Dopiero teraz zauważyła, że mężczyzna nie ma na sobie koszuli.

Dlaczego prześladowuje mnie pech? - jęknęła w duchu. Nie dość, że odkąd się tu sprowadziła, dzień w dzień nawiedzał ją szalony włamywacz, to jeszcze ten facet musiał być bosko przystojny! Siłą odwróciła wzrok od jego nagiej, umięśnionej piersi.

Było gorzej, niż myślała. Mężczyzna nie miał na sobie nie tylko koszuli, ale również butów.

To oczywiście, że uciekł ze szpitala.

Jessie poczuła, jak jej ciało przeszywa lodowaty dreszcz.

Policja pewnie już go szuka! A właśnie, policja!

Niestety, telefon i tym razem był na dole.

Musi tam dotrzeć jak najszybciej. I koniecznie, ale to koniecznie musi udawać, że wszystko jest w porządku. Za nic w świecie nie może go sprowokować!

- Nie chcieli cię... - zaczęła. - Nie powinieneś zostać jeszcze w szpitalu?

- Chcieli. Wyszedłem na własną prośbę.

Patrick uśmiechnął się w duchu.

Skupienie na twarzy kobiety było niemal namacalne. Ze wszystkich sił starała się udawać, że nie widzi nic niezwykłego w zaistniałej sytuacji.

- To nie było chyba zbyt mądre posunięcie - skomentowała jego oświadczenie.

- Czuję się już dobrze.

Przepuścił ją w drzwiach. Z dzieckiem na rękę wyglądała tak... tak słodko. Jak Bella, kiedy trzymała w ramionach ich córeczkę.

- Słuchaj, nie wiem, po co wróciłeś, i nie obchodzi mnie to. Weź, co chcesz, i daj nam spokój. Obiecuję, że nikomu nie pisnę ani słowa,

- Proponujesz, że odwrócisz się w drugą stronę, kiedy będę sięgał do kredensu po srebrną zastawę? Czy dobrze zrozumiałem? - zapytał, z trudnością powstrzymując się od wybuchnięcia śmiechem.

- Srebra? - Nie zauważyła tu nigdzie żadnych sreber. No, prawdę mówiąc, w ogóle nic zdażyła się tu jeszcze rozejrzeć. - Bierz, co chcesz. Jestem pewna, że są ubezpieczone.

- Wielkie dzięki! - Tym razem sałwy śmiechu już nie udało się Patrickowi powstrzymać. - Jednak, tak między nami, najbardziej marzę teraz o gorącym prysznicu. Gorącym i długim.

- Prysznic? - Chyba niczym nie mógł jej bardziej zdziwić.

- A przy okazji, mam nadzieję, że zostawiłaś choć odrobinę ciepłej wody?

- Co takiego? Ach, tak, mhm, tak sądzę... - Tylko spokojnie, tylko spokojnie... - Na półkach leży sporo

czystych ręczników, a na szafce widziałam czyjaś brzytwę, więc jeśli chciałbyś się ogolić...

Błąd. Duży błąd. Nie powinna była wspominać o brzytwie.

- Owszem, ale najpierw zamierzam się przespać.

- Przespać? - Jessie głośno przełknęła ślinę. - Tutaj?!

Przez chwilę odniósł wrażenie, że zaraz zaproponuje mu czystą zmianę pościeli.

- Tak, tutaj - potwierdził. - Miałem dzisiaj wyjątkowo kiepski dzień, poprzedzony zresztą równie kiepską nocą. Rozumiesz?

- Świetnie cię rozumiem. - Jessie energicznie pokiwała głową. - Nie przeszkadzaj sobie.

Ja w tym czasie zejść na dół i wezwę policję, dokończyła w myślach.

Gdy oddaliła się już na bezpieczną odległość, odezwała się ponownie.

- Mam tylko jedno pytanie. Jak się tu właściwie dostałeś?

- Tak samo jak wczoraj. Użyłem klucza.

- Klucza? - Zdaje się, że ta informacja nie chciała pomieścić się w jej głowie. - Ale przecież włączyłam alarm. Jestem pewna, że tak.

- Owszem. A kartkę z kodem usłużnie zostawiłaś na stoliku w holu - uśmiechnął się z politowaniem. - Gdybym naprawdę był włamywaczem, pewnie ucałowałbym cię z wdzięczności. Masz jeszcze jakieś pytania?

Prawdę mówiąc, miała ich tysiące. Z jakiegoś jednak powodu wołała ich nie zadawać.

- Pójdę już lepiej przewinąć Bertiego - odezwała się niepewnie.

- Dobry pomysł. I przy okazji może zaparzysz dzbanek świeżej herbaty?

- Masz ochotę na herbatę?

- Nie ja - uściślił. - Jednak jestem pewien, że któryś z policjantów... Nie uwierzysz, jak podłą herbatę dają na posterunku. Bo zamierzałaś chyba ich wezwać, mam rację?

Blefował. Mogła być tego pewna.

Wziął, co prawda, prysznic, tak jak zapowiadał. Być może zamierzał nawet udawać, że szykuje się do snu, kto wie? Ale to wszystko musiało być jednym wielkim blefem. Zniknie stąd równie nagle, jak się pojawił, jeszcze zanim przyjedzie wóz policyjny.

Posadziła Bertiego na podłodze w holu, tuż obok stoliczka, przy którym zostawiła dziś rano swoją torbę.

Gdzie jest ta przeklęta komórka, zastanawiała się gorączkowo. Nagle jej wzrok zatrzymał się na gazecie leżącej na blacie stolika. A mówiąc dokładniej, na zdjęciu zajmującym połowę pierwszej strony.

Twarz ze zdjęcia wydała jej się dziwnie znajoma, a samo zdjęcie nic pochodziło z pewnością z policyjnej kartoteki. Tuż obok widniał podpis: Patrick Dalton, znany i ceniony prawnik, doradca królowej.

- Patrick Dalton? - szepnęła, po czym zerknęła bezradnie na Bertiego, jakby oczekując od niego jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Po chwili bez słowa chwyciła dziecko i z gazetą pod pachą pomaszerowała do kuchni.

Przewinęła Bertiego niemal automatycznie. Posadziła go w wysokim dziecięcym foteliku. Sprzątnęła ze stołu. Umyła ręce. Zaparzyła kawę.

Zdaje się, że wpakowała się właśnie w niemałe kłopoty. Właściwie, to całkiem spore kłopoty.

Jej włamywacz utrzymywał, że dom należy do niego. Niestety, najprawdopodobniej nie kłamał.

Kim w takim razie była Carenza Finch? Czy w ogóle miała prawo wynajmować ten dom?

- Zrobiłaś z siebie kompletną idiotkę, złotko - skwitowała. - A szanowny pan Dalton musiał się niezłe ubawić!

Przed oczami Jessie przewinęło się parę scen. No tak, a na koniec zaproponowała właścicielowi, by ukradł, co mu się żywnie podoba. I obiecała milczeć jak grób...

Jeśli Patrick Dalton postanowi wezwać policję, Jessie długo nie wyjdzie z więzienia. Chyba będzie potrzebować dobrego prawnika.

Cóż, właściwie, to w pewnym sensie już ma prawnika, uśmiechnęła się gorzko sama do siebie. W dodatku jednego z najlepszych w kraju!

Nieoczekiwanie odgłosy kąpieli ucichły. Jessie wstrzymała oddech.

Po chwili w drzwiach pojawił się Patrick. W szarym podkoszulku i luźnych spodniach wyglądał bardzo sympatycznie i swojsko.

- Proszę usiąść, panie Dalton. - Jessie z ledwością wydobyła głos ze ściśniętego gardła. - Napije się pan herbaty?

- Widzę, że sytuacja już się wyjaśniła? Co takiego panią przekonało, panno Hayes?



- Zdjęcie w gazecie.
  - Jak rozumiem, Carenza poprosiła panią o chwilową opiekę nad moim domem? Jak pani widzi, dłużej nie będzie to konieczne.
  - Niezupełnie. - Jessie zaryzykowała spojrzenie w jego kierunku. - Carenza wynajęła mi dom na trzy miesiące. Zapłaciłam z góry.
  - Świetnie! - wykrzyknął sarkastycznie. - Opłaciła pani w ten sposób jej wakacje. W takim razie radzę zawiadomić szybko bank, by wstrzymali płatność czeku. Ależ on był pewny siebie, I jaki arogancki!
  - To nie takie proste...
  - Tak? A z jakiego powodu?
  - Bo zapłaciłam gotówką.
  - Gotówką? - Na jego twarzy odmalował się wyraz bezgranicznego zdumienia. - Chce pani powiedzieć, że zapłaciła czynsz za trzy miesiące z góry i w dodatku gotówką?! Nie wierzę...
  - Cztery. Zapłaciłam za cztery miesiące. Czwarty miesiąc jako zabezpieczenie.
  - A nie przyszło pani do głowy, że to cokolwiek dziwne?
  - Prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym. Poza tym Carenza bardzo się spieszyła...
  - Domyślam się! - wykrzyknął z oburzeniem. - Teraz pewnie wygrzewa się gdzieś nad Adriatykiem. Nie przewidziała tylko jednego. A mianowicie, że wróce wcześniej do domu.
- Siedział przez chwilę w milczeniu, jakby coś rozważał. Potem odezwał się spokojnie:

- Proszę się nie martwić, panno Hayes. Zanim odnajdę moją siostrzenicę i obedrę ją ze skóry, oddam pani całą sumę.

- Nie potrzebuję pana pieniędzy.

- To bardzo wspaniałomyślne z pani strony, ale...

- Nie zrozumiał mnie pan - Jessie przerwała mu. -

Nie potrzebuję pana pieniędzy, bo nie zamierzam się stąd wyprowadzać. Podpisałam stosowną umowę, sygnowaną przez agencję, wniosłam wszystkie opłaty. Nie złamałam prawa. Poza tym potrzebuję tego mieszkania.

Przełknęła ślinę, zanim odważyła się dodać:

- A czy ze względu na pana zdrowie nie byłoby bezpieczniej, gdyby pozostał pan przez jakiś czas w szpitalu? Nie wiadomo przecież, jak ten wczorajszy upadek odbił się na pańskim zdrowiu. Mogą na przykład pojawić się kłopoty z pamięcią...

- Z moją pamięcią wszystko jest w jak najlepszym porządku - sarknął oburzony, by pokryć zmieszanie. Bo tak naprawdę, pamięć rzeczywiście płatała mu figle. W żaden sposób nie umiał pozbyć się natrętnego obrazu, wciąż miał przed oczami dyskretny tatuaż na udzie panny Hayes... - Poza tym w domu szybciej powrócę do sił, się sądzi pani?

- Owszem. Tylko że to jest teraz mój dom. Przynajmniej przez najbliższe trzy miesiące - uściśliła. - Jestem pewna, że ktoś zgodzi się przyjąć pana chwilowo pod swój dach. Jakaś rodzina, przyjaciele...

Zdaje się, że Patrick Dalton zaczynał być naprawdę zły. Chyba właśnie tak należało zinterpretować grymas, który pojawił się na jego twarzy.

Może boli go głowa? - pomyślała Jessie ze współczuciem. Wszystko jedno, i tak nie zamierzała oddać mu swego domu. Jego domu. Do diabła!

- A co z panią, panno Hayes? - odezwał się. Jego głos nie zwiastował nic dobrego. - Czy pani ma jakąś rodzinę albo przyjaciół, u których mogłaby się pani tymczasowo zatrzymać?

- Gdyby tak było, nie widziałyby pan mnie tu teraz. Przyjęłabym wszystko, co zaproponowałyby mi agencja.

- Jaka agencja?

Podać mu nazwę.

- Byli bardzo sympatyczni. Może pomogliby również i panu? Ja niestety nie mam czasu tyra się zająć. Jestem zbyt zapracowana.

- Zapracowana? - zaśmiał się. - Czy ma pani na myśli spanie w środku dnia?

- Spanie?

- A nie tym właśnie zajmowała się pani podczas kąpieli? A przy okazji, mam nadzieję, że wygodnie pani w moim szlafroku?

Jessie spojrzała w dół.

- To pański? - zapytała z udawanym zainteresowaniem, próbując jednocześnie zapanować nad falą gorąca, która powoli docierała do policzków. - Jest bardzo wygodny i ciepły.

- Wiem o tym. To jest mój dom, Jessie!

Żar stawał się trudny do zniesienia.

- Och, pamięta pan moje imię!

- Owszem, pamiętam - potwierdził. Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy kiedykolwiek uda mu się je zapo-

mnieć. - Nie wyrzucę pani za drzwi już dzisiaj wyłącznie ze względu na dziecko. Jednak radzę rozejrzeć się za jakimś innym mieszkaniem. Może agencja, która okazała się taka pomocna, i tym razem wybawi panią z kłopotów.

- Nie ma mowy! - Jessie gwałtownie pokręciła głową. Skoro ten facet uznał, że Bertie jest jej dzieckiem, aa razie nie było sensu wyprowadzać go z błędu. - Nigdzie się stąd nie ruszam.

- W takim razie oboje mamy problem - oznajmił Patrick. - Bo ja również zamierzam tu zostać.

Jessie zerknęła na niego podejrzliwie. Najwyraźniej nie żartował.

- Cóż, możemy pomyśleć o jakimś kompromisie - zaczęła. - Co powie pan na podnajęcie garażu? Ostatecznie to nie pana wina, że Carena wzięła ode mnie równowartość czterech czynszów w gotówce...

- Może pani w każdej chwili odzyskać pieniądze. I to natychmiast. No dobrze, dorzucę coś za tak zwane straty moralne.

Nie chciała. Za nic na świecie nie wyobrażała sobie kolejnej przeprowadzki w ciągu zaledwie dwóch dni. Za żadne skarby!

- Jakoś się podzielimy łazienką - kontynuowała, jakby nie słysząc jego słów. - Może ma pan na strychu jakieś łóżko polowe czy materac? Jestem pewna, że dogadamy się w sprawie bieżących kosztów.

Patrick wyglądał, jakby mu właśnie odebrało mowę.

W dodatku, co dodatkowo go rozżłościło, w kuchni pojawił się nagle kot. Zamiauczał, ocierając się przymilnie o jego nogę.

- Niczego nie zamierzam z nikim dzielić, panno Hayes! - Głos Patricka zabrzmiał niczym grzmot w środku letniego popołudnia. - Radzę pani jak najszybciej spakować swoje rzeczy. I proszę nie zapomnieć o kocie!

- Pozwoli mi się pan przebrać, zanim wyrzuci mnie z dzieckiem na ulicę?!

Wlepił w nią wzrok, jakby szukając w myślach właściwej odpowiedzi.

Opatulona w jego własny, sporo na nią za duży szlafrok, z wilgotnymi, niedbale związanymi włosami, nie umalowana i kompletnie niewyspana, Jessie nie miała złudzeń co do tego, jak okropnie i mało seksownie musi teraz wyglądać.

Przypominanie mu zatem, że jest niemal naga, nie było najlepszym posunięciem.

#### ROZDZIAŁ CZWARTY

Patrick gorączkowo próbował zebrać myśli.

Otulona w jego własny, sporo na nią za duży szlafrok, Jessie Hayes wyglądała tak słodko i niewinnie, że z ledwością mógł oderwać od niej wzrok. Zresztą, nawet gdyby wyszła teraz z pokoju, nie na wiele by się to zdało. I tak pod powiekami nieustannie miał wszystkie miękkie krągłości jej ciała, nie mówiąc już o seksownym tatuażu na udzie.

- Dziecko oczywiście zabiorę, panie Dalton - odezwała się, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając, że Bertie jest jej synem. - Ale obawiam się, że będzie pan skazany na towarzystwo tego kota. O ile wiem, należy do Carenzy.

- Niech ją...

- I sędzę, że właśnie zaczyna być bardzo głodny. - Kot, jakby na potwierdzenie, miauknął żałośnie. - W lodówce jest gotowana ryba. Trzeba ją tylko podgrzać, a później rozdrobnić.

Patrick wstał z miejsca. Przesząpił nerwowo z nogi na nogę. Zdaje się, że wydarzenia ostatnich godzin zaczynały go powoli przerastać.

Niewiele myśląc, odwrócił się na pięcie i wybiegł z kuchni.

- Jeśli zamierza pan uciąć sobie teraz drzemkę, to proszę się jeszcze wstrzymać - zawołała za nim Jessie, - Będę potrzebowała sypialni. Muszę się przecież w końcu ubrać!

- Drzemkę? - Patrick zatrzymał się w pół kroku. - Chyba pani żartuje, panno Hayes. Nigdy jeszcze nie czułem się równie pobudzony! Wychodzę. Wracam po południu i mam nadzieję, że już pani tu nie zastanę.

Po chwili drzwi frontowe zamknęły się z denerwującym głośnym hukiem.

- Jeden zero dla nas - Jessica wyszeptwała do ucha Bertiego.

Przez chwilę jeszcze wsłuchiwała się w ciszę, niepewna, co właściwie powinna teraz uczynić. Jedno wiedziała na pewno. Nie zamierza się stąd nigdzie ruszać.

Nie zastanawiając się dłużej, włączyła alarm, na wypadek gdyby pan Dalton postanowił wrócić wcześniej, niż obiecywał.

Sprawdziła, co robi Bertie, pościeliła łóżko i sprzątnęła łazienkę, natrafiając przy okazji na rozmaite części męskiej garderoby, należące z pewnością do Patricka Daltona.

Musiała przyznać, że pan Dalton w niczym nie przypominał nudnych i zapracowanych prawników, których dotąd miała okazję widywać. Co więcej, był naprawdę przystojny. To dodatkowo komplikowało sytuację.

Prawdę mówiąc, nie bardzo wyobrażała sobie możliwość wspólnego korzystania z jednej łazienki. Jej łazienki. Jego łazienki? Ich łazienki, do diabła!

Ziewnęła przeciągle, a potem wzdrygnęła się.

Natrętnie dzwonienie alarmu sygnalizowało, że ktoś właśnie wszedł do środka. Czyżby pan Patrick Dalton zmienił plany?

Jessie chwyciła Bertiego na rękę i weszła na schody. Istniał przynajmniej jeden pozytywny aspekt całej sprawy: wreszcie mogła zaoszczędzić czas i pieniądze na cotygodniowych wizytach w siłowni. Nieustanne wchodzenie i schodzenie po schodach z niemal dziesięciokilowym obciążeniem i brak czasu na jedzenie z pewnością dobrze odbiją się na jej sylwetce.

Drzwi były uchylone jedynie na długość łańcucha. W środku ani na zewnątrz nie było nikogo.

Jessie rozejrzała się niepewnie. Monotonny dźwięk alarmu mógł obudzić umarłego. Spojrzała w kierunku stolika, na którym zostawiła kartkę z kodem. Kartka jednak zniknęła.

Świetnie, pomyślała. Przymknęła powieki, próbując odtworzyć w pamięci porządek ośmiu cyfr. Nadaremnie.

Nagle poczuła czyjąś obecność. Odwróciła się gwałtownie. Za jej plecami, w odległości dwóch, trzech kroków, stał Patrick.

- Sprytny wybieg, panno Hayes - odezwał się, zanim na dobre zdążyła zorientować się, skąd się tam wziął.  
- Jednak nie ma sensu zakładać łańcucha na drzwi, jeśli wcześniej nie zabezpieczy pani wejścia do garażu.

- Wszedł pan przez garaż?! - wykrzyknęła, uświadamiając sobie, że właśnie po raz kolejny zrobiła z siebie kompletną idiotkę.

- Tak, wszedłem przez garaż - potwierdził, jakby miał do czynienia z dzieckiem. - A dla ścisłości - mój



garaż. I chciałbym, żeby uprzątnęła go pani ze swoich licznych śmieci.

- To jest mój garaż - odezwała się starając się zachować kamienny spokój. - Mam podpisaną umowę. I to nie są śmieci.

Chociaż mogą sprawiać takie wrażenie, dodała w myślach. Prawdę mówiąc, nie miała zbyt wiele czasu na to, by spakować się porządnie, kiedy wносиła się z Taplow Towers. Zresztą, cały jej majątek zmieścił się w kilku dużych kartonach. Rzeczywiście, nie zdążyła ich jeszcze rozpakować. I o co tyle krzyku?

- Nie rozumiem, dlaczego pani jest taka uparta - usłyszała jego głos.

Uparta! Dobrze sobie. Ona po prostu walczy o swoje prawa!

- Biorąc pod uwagę okoliczności, wydaje mi się, że jestem aż nadto ugodowo nastawiona - odparła.

- Ugodowo? - zaśmiał się. - W takim razie, biorąc pod uwagę okoliczności, zgodzi się chyba pani ze mną, że jeśli z powodu pani rzeczy w garażu mój samochód stoi właśnie na płatnym miejscu parkingowym, to opłatę za postój powinien uiścić nie kto inny, tylko pani.

- Opłata?

- Ma pani... - Patrick ostentacyjnie spojrzął na zegarek - dokładnie dwadzieścia dwie minuty, licząc od teraz. Albo uprzątnie pani garaż, albo za chwilę wręczone pani kwit.

Jessica niemal siłą powstrzymała się, żeby nie wykrzyknąć temu zadowolonemu z siebie gogusiowi, co może zrobić sobie ze swoimi dwudziestoma dwoma minu-

tami. Jedyne jednak, co tak naprawdę mogło ją uratować, to zachowanie spokoju.

- A co pana zdaniem - zaczęła, starając się powstrzymać nerwowe drżenie głosu - powinienam zrobić ze swoimi rzeczami w ciągu tych dwudziestu dwóch minut?

- A to już, panno Hayes, wyłącznie pani problem.

- Rozumiem. I życzy pan sobie, żebym zajęła się tym dokładnie teraz? - Niech nie myśli, że ujdzie mu to na sucho!

- Zostało pani zaledwie dziewiętnaście minut.

Jessie wsadziła Bertiego do fotelika, upewniła się, że jest bezpieczny i odwróciła się na pięcie.

Była już na trzecim stopniu na schodach do garażu, kiedy dobiegł ją krzyk Patricka.

- Panno Hayes!

- Tak?

- Nie zapomniała pani o czymś?

- Nie wydaje mi się! - zawołała, robiąc kolejny krok w dół.

- Dziecko! - odkrzyknął głosem, w którym pobrzmiwała desperacja. - Zapomniała pani o dziecku.

Twarz Jessie aż pojaśniała z triumfu. Odwróciła się i wbiegła z powrotem na górę.

Wyraz twarzy Patricka sprawił jej wielką satysfakcję.

- Nie oczekuje pan chyba, że będę przenosić ciężkie lekturowe pudła, trzymając w ramionach dziecko? Jednak proszę się nie martwić, to prawdziwy aniołek. I zdaje się, że pana polubił. Może mógłby go pan później wziąć aa mały spacer?

- Później?

- Po tym, jak go pan nakarmi - dokończyła.

- Nakarmić go?!

- W tym czasie przeniosę swoje rzeczy na górę. Nie powinno mi to zająć więcej niż jakąś godzinę, może dwie. Tak mi się wydaje. Tymczasem proszę mu dać butelkę mleka. Przepis na przyrządzenie mieszanki znajdzie pan na opakowaniu. A później proszę przewinać małego. Chyba umie pan przewijać niemowlęta, panie Dalton?

- Czy pani żartuje?

- Skądże, jestem jak najbardziej poważna. - Mówiąc to, starała się cały czas patrzeć mu prosto w oczy, chociaż nie było to wcale łatwe. Czuła, jak pod żarem jego spojrzenia cała topnieje. - A pan?

- W porządku, wygrała pani! - Patrick uniósł ramiona w geście poddania. - Ja zajmę się pudłami, a pani niech zostanie przy dziecku.

- Och, mógłby pan? Bardzo panu dziękuję! - wykrzyknęła, udając entuzjazm. - To naprawdę miło z pana strony. Mogę panu nawet zaparzyć świeżej herbaty, zanim pan zacznie.

Ostatecznie to rzeczywiście był jego dom. Przynajmniej do niedawna. I niedługo znowu będzie. Może Patrick po prostu potrzebował trochę spokoju i odrobiny snu. Tak samo zresztą jak ona.

- Dziękuję - skwitował spokojnie Patrick. Wyciągnął z kredensu metalową miskę i podszedł do kranu. - Grady, dzieciaku, chodź, napij się wody!

Duży, czarny pies wyrósł nagle jak spod ziemi. Podbiegł do Patricka, polizał go po rękę i podszedł do miski. Był ogromny, groźny!

Jessie zamarła.

„Nie znoszę kotów. Tak samo zresztą jak mój pies”. Słowa Patricka uparcie dźwięczały jej w głowie. Nie zwróciła wcześniej najmniejszej uwagi na to stwierdzenie, traktując je jako kolejne oszustwo włamywacza. Ale BO było wczoraj, kiedy nie znała prawdy.

Tak, ten pies z pewnością należał do Patricka.

Zostawił dom pod opieką Carenzy, ale nie ufał jej w sprawie samochodu i psa?

Jessie spróbowała zrobić krok do tyłu. Niestety, stała tuż przy samej ścianie. Gdyby mogła, wcisnęłaby się w nią i najchętniej uciekła, gdzie pieprz rośnie.

Nie przepadała za kotami. Ale tolerowała je. Co innego psy... Psy ją przerażały!

Jęknęła cicho.

Patrick odwrócił głowę.

- Co się dzieje? - zapytał, choć doskonale znał odpowiedź. Nie trzeba było być geniuszem, by odgadnąć, co dzieje się teraz z Jessie. Wyglądała, jakby zobaczyła potwora.

I właśnie w tym momencie wiedział, że wygrał.

Albo raczej... przegrał.

Tak, Grady mógł być doskonałym i niewątpliwie najprostszym sposobem na pozbycie się uciążliwej lokatorki i jej dziecka, lecz Patrick poczuł nagle wyrzuty sumienia. Nie był przecież skończonym draniem.

- Już dobrze, już dobrze - odezwał się możliwie jak najdelikatniej. - Grady, piesku, do nogi!

Jessie Hayes nadal nie wyglądała na uspokojoną. Wręcz przeciwnie.

Patrick sięgnął po miskę z wodą.

- Przykro mi, stary - odezwał się, stawiając jednocześnie miskę za drzwiami kuchni. Pies posłusznie podążył w ślad za nią. - Chwilowe przemeblowanie.

Dokładnie zamknął za sobą drzwi.

Jessie, wciśnięta w ścianę, z trudem łapała oddech. Jej ramiona drżały, pierś falowała, a w oczach czaił się prawdziwy lęk.

Patrick jednym susem przemierzył długość kuchni i już po chwili trzymał Jessie w ramionach.

- Pani Hayes... - Te słowa zabrzmiały głupio nawet dla niego samego. Trzymał ją drżącą w ramionach, czuł delikatny zapach mydła na jej skórze, niemal dotykał wargami jej miękkich loków. - Jessie, proszę...

Zdawała się nie słyszeć, jakby zatopiona we własnym świecie, porażona strachem.

Szeptał jej do ucha łagodne słowa, których po chwili nie potrafiłby nawet powtórzyć. Słowa, jakimi uspokaja się płaczące dziecko lub przerażone zwierzę. Nie wypuszczał jej z objęć.

Czuł, jak jakaś odległa, dawno uśpiona część jego wnętrza odzywa się cichym łkaniem. Część, która, jak uważał, umarła dokładnie dziesięć lat temu.

Jessie uniosła powoli głowę. Jej oczy wydawały się być tak wielkie i tak piękne, że... że przez chwilę Patrick zapomniał nawet o powodzie, dla którego trzyma ją w ramionach. Zapomniał o całym bożym świecie...

Jessie odetchnęła głęboko. Zrobiła z siebie idiotkę, oczywiście, ale kto by na to zważał w takiej cudownej chwili. W ramionach Patricka czuła się szczęśliwa i bezpieczna.

Wyraz jego oczu pozwalał wierzyć, że tak będzie już zawsze. Oczu, w których ciepłe złoto cudownie współistniało z chłodem grafitu...

W ciszy, jaka zawisła między nimi, oboje poczuli się, jakby zostali uwięzieni na bezludnej wyspie. Bez jakichkolwiek szans na ratunek.

W ciszy, jaka zawisła między nimi, zbliżył swe wargi do jej ust i... ucałował.

To już tyle czasu... Tyle czasu, odkąd ostatni raz czuł na sobie przyjemny ciężar kobiecego ciała, a na ustach słodki smak kobiecych warg.

Jessie zapomniała już, jaki był powód jej przerażenia. Zapomniała nawet o obietnicach, jakie tylekroć sobie składała, i o tym, jak bolesne może być ich złamanie. Zapomniała, czy raczej nie. chciała pamiętać, że nigdy nie powinno się ufać przystojnym, pewnym siebie mężczyznom o zagadkowym, trochę smutnym spojrzeniu.

Jedyne, co wypełniało teraz jej umysł, to smak ust Patricka.

- Jessie... - szepnął.

Dobrze wiedział, że nie wolno mu zboczyć z drogi, którą obrał dziesięć lat temu. Nie teraz, kiedy nareszcie poukładał sobie życie i odzyskał poczucie bezpieczeństwa. Miałyby to wszystko zniszczyć jedynie z powodu chwilowego zapomnienia?

- Jessie... - powtórzył, jakby szukając w myślach odpowiednich słów.

Chciał ją przeprosić, czuła to. Wytłumaczyć, że nie rozumie, jak mogło do tego dojść i że jest mu bardzo, bardzo przykro.

Tylko że ona nie chciała jego przeprosin

Co on sobie, do diabła, wyobrażał?!

- Co to wszystko ma znaczyć? - zaczęła zaczepnie.

- Byłaś taka roztrzęsiona - odparł. - Bałem się, że zaczniesz histeryzować.

Ach, więc to tak?! Jessie niemal zatrzęsała się z oburzenia. I ze złości.

- Świetny ruch - skwitowała cierpko. - Gratuluję.

- Jak widzisz, podziękowało - uśmiechnął się z zadowoleniem. - Zdaje się, że lepiej niż zimny prysznic. Dużo lepiej, prawda?

Jego spojrzenie znowu było chłodne, niemal beznamiętne. Dlaczego?

Co się stało z pasją i namietnością, które wyczuła w nim przed chwilą? Pewnie były jedynie wytworem jej wyobraźni.

Powinna koniecznie uwolnić się z jego objęć. I to natychmiast. Może w ten sposób uda jej się wreszcie przestać myśleć o tym cholernym pocałunku.

- Przepraszam, pani Hayes.

Znowu byli dla siebie jedynie dwójką nieznajomych, których przewrotny los postawił w kłopotliwej sytuacji.

- Powiniennem był panią uprzedzić. Zapomniałem, że Grady może wydawać się groźny na pierwszy rzut oka. W rzeczywistości jest łagodny jak baranek. Zresztą, ma już prawie jedenaście lat...

- Yhm - potwierdziła, nie kryjąc wątpliwości. - Ciekawe, że ludzie zawsze tak mówią. Przynajmniej do czasu, kiedy ich łagodny jak baranek pies nie wbije się swoimi ostrymi jak brzytwa zębiskami w czyjąś łydkę.

Zabrzmiało to jak bolesne wspomnienie.

- Daję głowę, że w przypadku Grady'ego jest to prawda, cała prawda i tylko prawda - uśmiechnął się.

- Lepiej, żeby tak było. Bo jakoś nie wyobrażam sobie pana bez głowy, panie Dalton.

Roześmiał się.

Właściwie nie miał pojęcia, z jakiego powodu oboje nadal obejmują się.

Zresztą, nieważne. Czuł, że jest jej dobrze w jego ramionach. Jemu było dobrze z nią. Pachniała tak cudownie. Jak... jesienny las.

- Grady należał do mojej żony - odezwał się. Żony... Nie pamiętał już nawet, kiedy ostatnio jego usta wypowiedziały to słowo. Miał wrażenie, że chyba wieki temu. - Dostała go pod choinkę, gdy był szczeniakiem.

„Nie zabawimy tam długo”, Bella stała w otwartych drzwiach kuchni. „To zwykła wizyta kontrolna. Zostawię Grady'ego z tobą. Ani się obejrzysz, jak Mary Louise i ja będziemy z powrotem”.

- Jak dawno odeszła?

- Co? - Spojrzał na nią nieco nieprzytomnie. - Ach, as... Dziesięć lat.

Jessie była pewnie przekonana, że są rozwiedzeni. Tym lepiej. Nie zamierzał jej się zwierzać.

- Usiądź - poprosił, prostując ramiona. - Zaraz podam ci szklaneczkę brandy.

- Nie, nie, dziękuję. Nie znoszę brandy. Zresztą, już czuję się o wiele lepiej. - Usiadła w fotelu, który jej wskazał. - Myślisz, że znów tu wejdziesz?

- Grady? - spytał z uśmiechem. - Nie, o ile podczas



mojej nieobecności nikt nie nauczył go, jak posługiwać się klamką. Nie przepadasz za wszystkimi bez wyjątku psami, czy tylko za tymi większymi?

- Zzza... wszystkimi - zająknęła się.

- Rozumiem. Obiecuję, że Grady nie wejdzie do mieszkania. Zostawię go na zewnątrz. Przynajmniej do czasu mojego powrotu.

- Wychodzisz?! - W jej pytaniu usłyszał coś więcej niż tylko zdziwienie. - Dokąd?

To byłoby takie proste, pomyślał z żalem. Mógł wyjść z domu, zostawiając biegającego luzem Grady'ego, a Jessie Hayes znikłaby z jego życia równie nagle, jak się w nim pojawiła.

- Powinienem przestawić samochód, pamiętasz? - odpowiedział, żałując równocześnie w duchu, że jest takim mięczakiem. - Jednak by to zrobić, muszę wcześniej uprzątnąć twoje rzeczy z garażu.

Mówiąc to, podszedł do drzwi, za którymi znajdował się pies, i przekręcił klucz w zamku. Jessie nadal nie wyglądała na uspokojoną.

- Postaram się skończyć jak najszybciej, obiecuję - zapewnił.

Pokiwała głową, choć mógłby przysiąc, że nie słyszała ani słowa z tego, co do niej mówił.

Zdawało się, że Jessie Hayes na dobre przywarła do fotela.

Pies, który zaatakował Jessie, gdy była jeszcze dzieckiem, zostawił na jej łydce kilka niemal zupełnie już niewidocznych blizn. Lepiej czy gorzej, ale jednak potrafiła z tym jakoś żyć.

Niestety zupełnie nie radziła sobie z innego rodzaju bliznami, które nie tak dawno pozostawił na jej duszy Tony.

Pytanie tylko, czy odpowiedź na pocałunek Patricka mogła być wynikiem szoku, nieoczekiwanego i nader szczęśliwego zagojenia się owych blizn, czy może jedynie dowodem na to, że wcale nie uczymy się na błędach.

- Co o tym sądzisz, skarbie? - zwróciła się w kierunku Bertiego, który właśnie kończył jeść kaszkę.

Kevin i Faye zostawili jej taki zapas jedzenia i pie-luszek, że starczyłoby chyba na kilka miesięcy. Zapewne uczynili tak jedynie z nadgorliwości. Pozostawało mieć nadzieję, że ich „dochodzenie do siebie” nie potrwa zbyt długo.

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie, Bertie roześmiał się rozkosznie.

- Uważasz, że to zabawne? - Jessie przytuliła dziecko. - Mam rację?

I wtedy właśnie zauważyła powód radości chłopca. W jego bezzębnych dotąd dziąsłach połyskiwał biało-nie-duży, ostry punkcik. Bertie uśmiechnął się szeroko, jakby z dumą prezentując swój pierwszy mleczny ząb.

W tym samym momencie w drzwiach kuchni pojawił się Patrick, stawiając na podłodze jeden z kartonów.

- Nie mogę tego nigdzie upchnąć - wysapał.

- Naprawdę? - zawołała radośnie, jakby właśnie zawiadomił ją, że wygrała los na loterii. - Nieważne! Bertie ma pierwszy ząbek! Zobacz!

Patrick jakoś nie wykazywał entuzjazmu. Nawet nie ruszył się z miejsca.

- Czy w tak ważnym momencie nie powinien być przy nim ojciec? - spytał oschle.
- Ojciec? - powtórzyła bezmyślnie.
- Jak przypuszczam, dziecko ma ojca?
- Oczywiście, że ma - potwierdziła, choć z tonu jej głosu wynikało raczej, że nie jest tego zupełnie pewna.

W jaki sposób miała wyjaśnić Patrickowi całą sytuację, nie zdradzając jednocześnie, kim tak naprawdę jest dla niej Bertie?

Jedno wiedziała na pewno. Kevin i Faye powinni zgłosić się po dziecko najdalej za jakieś dwa, trzy dni. Do tego czasu musi za wszelką cenę zostać w tym domu.

- Gdyby Bertie był moim synem, za nic w świecie nie przegapiłbym takiego wydarzenia - obwieścił Patrick. - Spróbuję zmieścić to gdzieś na górze.

Schylił się po pudło i wyszedł z kuchni.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Panie Dalton! - Jessie krzyknęła w kierunku schodów. Odpowiedziała jej cisza. - Panie Dalton, zrobiłam panu kilka kanapek!

Sposób, w jaki objął ją, kiedy tak bardzo wystraszyła się Grady'ego... Fakt, że nie próbowała się uwolnić z jego ramion... Tak, to powinno dać jej do myślenia. Sprawy nie wyglądały najlepiej.

Jessie, z Bertiem pod pachą, ruszyła na górę.

- Panie Dalton, pana kanapki są... - krzyknęła ponownie, zbliżając się do drzwi sypialni.

Zajrzała do środka.

Ku jej najwyższemu zdumieniu Patrick Dalton, odwrócony twarzą do poduszki i rozciągnięty wygodnie, smacznie spał.

- ...w kuchni - dokończyła.

Posadziła Bertiego na podłodze i przyciszyła muzykę płynącą z radia, starając się omijać wzrokiem barczystą postać śpiącego mężczyzny.

Właściwie nie mogła być nawet na niego zła. Zasnęła, co prawda, w jej łóżku, co więcej, w jej pościeli, ale musiał być wykończony. To akurat naprawdę potrafiła doskonale zrozumieć.

Ostatecznie w pewnym sensie było to również jego łóżko i jego pościel.

Niemal siłą powstrzymała się, by nie położyć się obok niego i najzwyczajniej w świecie nie uciąć sobie małej drzemki.

Kiedy jednak niemal zupełnie zwalczyła w sobie tę niezdrową pokusę i skromnie przycupnęła na brzegu łóżka, Bertie zaczął płakać. Chyba doszedł do wniosku, że już zbyt długo Jessie nie zajmuje się nim.

- Ciii - Jessie poderwała się, kładąc jednocześnie palec na ustach. - Bertie, miej trochę litości. Zresztą, zbieramy się stąd!

- Jessie, jestem pewien, że gdybyś usiadła tak, by mógł cię widzieć, zaraz by usnął. Zdaje się, że akurat w tej dziedzinie wszyscy troje mamy do odrobienia spore zaległości... - usłyszała głos Patricka. On sam nawet nie drgnął.

Jessie, zdziwiona, odwróciła się w jego stronę.

- Myślałam, że śpisz - przyznała skonsternowana.

- Ja również byłem tego pewien - wymruczał. - Jednak oryginalna kombinacja odgłosów radia, dziecięcego płaczu i twojego dramatycznego szeptu sprawiły, że dość prędko zrozumiałem swój błąd.

- Naprawdę mi przykro... Wezmę stąd tylko kilka drobiazków i...

Patrick odwrócił głowę i uniósł się na łokciu.

- Nigdzie nie pójdziesz - odezwał się łagodnym głosem, uchylając nieco powieki. - Proponuję, żebyś położyła się wygodnie na łóżku i odpoczęła przynajmniej kilka minut. Nie chcę słyszeć żadnych protestów.

- Może i masz rację... - zaczęła.
- Ja zawsze mam rację - odparł z uśmiechem, obserwując z zadowoleniem, jak Jessie kładzie się obok.
- Buty ściągnąć, nogi wyprostować! Zobaczysz, już po chwili świat znowu wyda ci się piękny!
- Panie Dalton...
- Patrick - przerwał jej. - Jak sądzę, możemy zacząć mówić sobie po imieniu, skoro będziemy dzielić wspólne łóżko. Co ty na to?
- Co ty wygadujesz! - Jessie aż usiadła z oburzenia.
- Co prawda dla postronnego obserwatora może to tak wyglądać, ale nie wydaje mi się, żeby...
- Przestań rozmyślać, a przynajmniej na głos - poprosił. - Odpoczywaj. Mam nadzieję, że robiłaś to już kiedykolwiek?

I nie czekając nawet na jej odpowiedź, ponownie przyknął powieki.

Jessie, zła na samą siebie, bez słowa zdjęła buty i ostrożnie, uważając, by przypadkiem nie dotknąć Pa-----, położyła się.

Jednak bardzo wątpiła, że uda jej się zasnąć. Ciepło, jakim emanował leżący obok mężczyzna, nie działało na nią usypiająco. Wręcz przeciwnie.

Idiotka z ciebie, upomniała się w duchu. Jeśli myślisz, że w tej sytuacji można się dopatrzeć choćby odrobiny erotyzmu, to jesteś w wielkim błędzie. Jedynym pragnieniem leżącego obok mężczyzny jest wyłącznie niezakłócony sen.

Zamknęła powieki i niemal natychmiast zasnęła.

Patrick wsłuchał się w odgłos oddechu Jessie. Spo-

kojny, miarowy, nie pozostawiał nawet cienia wątpliwości, że dziewczyna śpi.

Uśmiechnął się do siebie. Nie przypuszczał, że pójdzie mu tak łatwo.

Patrick poderwał się nagle.

Przez chwilę nie miał pojęcia, gdzie jest i co tutaj robi. Tym bardziej że sen, który go zbudził, nie różnił się zbytnio od jawy.

Jego głowa spoczywała na piersi kobiety, z tą tylko różnicą, że ta ze snu nie była aż tak przyjemnie ciepła i podniecająco ponętna...

Jessie...

Doskonale wiedział, że powinien się ruszyć, coś zrobić, oddzielić wreszcie marzenia senne od rzeczywistości, jednak z jakiegoś powodu nie potrafił. Albo raczej, nazywając rzeczy po imieniu, nie chciał.

Odgarnął miękkie, jedwabiste pukle Jessie ze swojej twarzy. Uśmiechnęła się przez sen. Jej rozchylone usta jakby zapraszały do pocałunku.

Patrick z trudem panował nad zmysłami.

Tak właśnie musiał czuć się książę, kiedy napotkał na swej drodze Śpiącą Królową, pomyślał, nie potrafiąc równocześnie oderwać wzroku od kuszącej bieli zębów i pełnych warg.

Powoli i delikatnie, starając się przekrzyczeć resztki zdrowego rozsądku, zbliżył usta do jej warg. Były ciepłe, miękkie i niesamowicie słodkie.

Niemal tak słodkie, jak spojrzenie jej niebieskozielonych oczu, które otworzyły się gwałtownie.

Zdaje się, że jest pan w niezłych tarapatkach, panie Dalton, pomyślał sarkastycznie.

Przez moment nic się nie działo. Patrick już nawet zaczął dochodzić do wniosku, że Jessie nadal śpi, że niczego nie zauważyła, że jeszcze czas, by się wycofać...

- Tony? - spytała rozspanym głosem. - Tony, to ty?

- Kim jest Tony? - Słowa wypłynęły z jego ust szybciej, niż zdążył pomyśleć. - Czy Tony jest ojcem Bertiego? Jessie?

- O, nie! - Zdaje się, że również Jessie już zupełnie oprzytomniała.

To staje się już swego rodzaju zwyczajem, pomyślała, patrząc na ich splecione ze sobą ramiona. Właściwie sama *me* bardzo wiedziała, czy ta sytuacja bardziej ją oburza, czy cieszy.

- Naprawdę powinniśmy z tym skończyć - powiedziała, ruchem głowy wskazując jego ramiona.

Wiedziała, że powinna się poruszyć. Próbowwała, naprawdę próbowała wysunąć się z uścisku Patricka. Jednak jej rozleniwiony umysł nie przesłał żadnego polecenia do jeszcze bardziej rozleniwionego ciała.

- Muszę wstać - odezwała się ponownie.

- Nie przejmuj się. Nic się nie stało - uspokoił ją Patrick. - Bertie śpi jak mały suseł.

No tak, rzeczywiście nic się nie stało.

Oboje byli przecież kompletnie ubrani. Nic nie miało prawa się stać.

W blasku popołudniowego słońca rysy Patricka wydawały się o wiele łagodniejsze niż zazwyczaj. Jessie przyjrzała mu się uważnie.



Patrick Dalton był niezwykle przystojny, to fakt. Przystojny i seksowny.

Wysoki, dobrze zbudowany, o zdecydowanych rysach. Tak, mógł się poszczycić ściągniętą medialną urodą, co na jego stanowisku miało duże znaczenie.

Jessie z trudem potrafiła wyobrazić sobie powód, dla którego przed dziesięciu laty opuściła go żona, a już zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego od tamtej pory nadal był sam.

Szkoda, że pani Dalton nie zabrała ze sobą również psa, dodała w duchu zgryźliwie.

- Kim jest Tony? - zapytał ponownie.

- Nikt taki - odpowiedziała wymijająco. - Człowiek, z którym kiedyś zdarzyło mi się mieszkać. Muszę już wstać. Natychmiast.

Jego ramiona, opasujące jej talię, nawet nie drgnęły.

- Naprawdę - dodała.

- Sadzę, że powinnaś wykorzystać na odpoczynek każdą możliwą chwilę, Jessie - odezwał się. - Jak przypuszczam, dziecko bardzo cię absorbuje, prawda?

- To nie ma znaczenia! - zachnęła się. - Jak każdy dorosły człowiek muszę przecież zarabiać na życie.

- Rozumiem.

- Nie wydaje mi się.

Jego oczy były znowu tak niebezpiecznie blisko. Czyżby miał rację?

Może powinna zostać w łóżku, przynajmniej dopóki nie obudzi się Bertie, i zobaczyć, co jeszcze się zdarzy? Bo szansa na sen bezpowrotnie minęła... Jej umysł pracował zbyt intensywnie, iskrząc nieustannie od nadmiaru

wrażeń, a rozbudzone nagle hormony szalały jak gwałtowna, letnia burza.

Nieoczekiwanie Patrick odsunął rękę, pozwalając Jessie wstać.

Czuła, jak patrzył na nią, gdy siadała na łóżku, poprawiając pomięty podkoszulek. A także potem, gdy wstawała, by schylić się po Bertiego, zbierając rozrzucone po podłodze dziecięce zabawki. -

- Wiesz, że masz we włosach resztki kaszki? - spytał z uśmiechem.

- Dzięki. - Odwróciła głowę w jego kierunku. - To właśnie chciałam teraz usłyszeć.

- Zawsze do usług - odpowiedział, wstając z łóżka. - Wychodzę teraz z Gradym. Aha, a przy okazji, co będzie z dzisiejszym obiadem? Ugotujesz czy mam coś zamówić? Jak będzie?

- Ugotować? - powtórzyła za nim, jakby się prześłyszała.

- Czy to nie z tego powodu mężczyźni żenią się z kobietami? - dodał, stojąc już za drzwiami sypialni.

Jessie musiała mieć chyba bardzo głupią minę, bo jego twarz zajaśniała triumfalnym uśmiechem.

- Przytarcie nosa pannie Hayes nie było aż takie trudne, co, piesku? - wymruczał już na dole, przypinając jednocześnie Grady'emu smycz.

Nie wiadomo tylko, dlaczego on sam wcale nie poczuł się z tego powodu szczęśliwszy.

Jessie obmyła twarz strumieniem zimnej wody i przyjrzała się uważnie swemu odbiciu w lustrze.

- Jest dokładnie taki sam jak Tony - wymruczała w przestrzeń. - Oni wszyscy są tacy sami. Uwielbiają wykorzystywać kobiety.

Wyciągnęła z kosmetyczki szminkę i dotknęła nią ust. Były czerwone i wilgotne, jakby gotowe na przyjęcie pocałunku.

Dotknęła warg opuszkami palców. Nieomal poczuła gorąco oddechu Patricka na swym policzku i delikatne dotknięcie jego ust.

Dlaczego znowu to zrobił? - przeleciało przez jej głowę. Dlaczego?

Otarła delikatnie twarz ręcznikiem, postanawiając bodaj na chwilę wyrzucić pana Daltona ze swych myśli. Sięgnęła po telefon komórkowy.

- Cześć, Kevin! Cześć, Faye! - odezwała się. Z pewnością kiedyś wreszcie odsłuchają tę wiadomość. - Mam nadzieję, że dobrze się bawicie. Ktoś przecież powinien. A przy okazji, Bertiemu wyrósł właśnie pierwszy ząb!

- Ząb! Słyszałeś? Bertie ma ząbek! A nas przy tym nie było! - Faye energicznie pociągnęła męża za rękaw piżamy.

- Cii... Nie przesadzajmy, skarbie - spod pościeli dał się słyszeć zaspany głos Kevina - Będzie miał ich przecież jeszcze co najmniej kilkanaście.

- Ale żaden już nie będzie pierwszy!

- Faye, to ty wpadłaś na ten genialny pomysł, pamiętasz? - Kevin wynurzył głowę spod kołdry.

- Pamiętam - potwierdziła zrezygnowanym głosem jego żona. - I mam nadzieję, że nie wynikną z tego żadne

kłopoty. Jessie wydawała się być dość zadowolona, za-uważyleś?

- Owszem, jak na kogoś, kto właśnie stracił dom - potwierdził Kevin. - To chyba dobry znak?

- Miejmy nadzieję...

Po wykonaniu telefonu Jessie włożyła do pralki rzeczy swoje i dziecka, a potem, z Bertiem pod pachą, pomaszerowała w stronę kuchni.

- Obiad! Też coś! — wymruczała gdzieś w przestrzeń, otwierając lodówkę. W pustym wnętrzu karton mleka wyglądał dość żałośnie. - Najlepszy kucharz nie miałby szans przy tym stanie zaopatrzenia!

Niestety, nawet gdyby lodówka została wypełniona po brzegi, nie na wiele by się to zdało, ponieważ jedyne, co tak naprawdę Jessica potrafiła ugotować bez obaw, to woda na herbatę. I do tej pory w zupełności jej to wystarczało.

Patrick wciągnął głęboko haust świeżego powietrza w płuca. Tak, to było dokładnie to, czego potrzebował. Nareszcie powoli dochodził do siebie.

Bo, prawdę mówiąc, już zaczynał się nieco obawiać o stan swego ducha. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin zachowywał się jak szaleniec.

Kiedy ostatniej nocy otwierał drzwi swego domu, pewien był, że jego jedynym pragnieniem jest jak najszybsze pozbycie się swej siostrzenicy. Marzył, by spokojnie odpocząć, rozkoszować się ciszą i niczym nie zaprzętać sobie głowy.

Tak było, zanim poznał Jessie Hayes, zwariowaną jeźdź z dzieckiem na rękę, okupującą jego dom. Od tej pory przestał być pewien czegokolwiek.

Zapewne większość mężczyzn, którym los zesłałby piękną, młodą kobietę, z miejsca straciłaby głowę. Szczególnie, jeśli ten sam los zadbałby wcześniej o nader zmysłowe sceny z kąpieli.

To wiele wyjaśniało. Albo raczej nadal nie wyjaśniało niczego.

Nie wiedział, jak poradzić sobie z ogniem, który od kilku godzin trawił bezlitośnie jego wnętrze.

Ani tego, dlaczego uśmiech Jessie był dla niego jak pierwsze promienie porannego słońca, a ona sama wzbudzała w nim nieustanne pragnienie otoczenia jej troskliwą opieką. A kiedy się złościła...

Patrick zdecydowanie wolał przestać rozmyślać o tym, co działo się z nim, kiedy widział w oczach panny Hayes gniewne i nader zmysłowe iskierki.

Ale Jessica Hayes nie była przecież sama. Nawet jeśli nie istniał żaden pan Hayes, to i tak do rozwiązania pozostawała kwestia dziecka.

Bertie był co prawda słodkim, rozkosznym, półrocznym chłopczykiem, który budził w Patricku uczucia ojcowskie...

I w tym tkwił właśnie cały problem.

Czy nagłe pojawienie się Jessie Hayes i jej synka w jego ustabilizowanym, nieco nudnym życiu może okazać się lekarstwem na smutki? Nie wierzył, że kiedykolwiek zbliżni się rana, która powstała po stracie Belli i ich maleńkiej córeczki, Mary Louise.

Gdy Patrick wrócił, w domu, nie licząc odgłosów pracującej pralki, panowała cisza. Jak się jednak po chwili okazało, było to złudne wrażenie.

Nalał Grady'emu miskę świeżej wody i wystawił ją na zewnątrz. Pies potulnie wyszedł z domu, choć Patrick mógłby przysiąc, że we wzroku zwierzęcia maluje się niemy wyrzut.

Patrick wszedł po schodach na górę.

Jessica, zajęta robieniem jakichś notatek, leżała nogami uniesionymi do góry, wtulona wygodnie w oparciu *sofy*. Widząc go, nie poruszyła się nawet.

Nie wiadomo dlaczego zezłościło go to.

Nie oczekiwał, co prawda, że rzuci mu się na szyję, jednak...

- Mam nadzieję, że twoja latorośl raczkująca po moim dywanie nie narobi szkód - odezwał się. - A twój kot nie zostawi całej swojej sierści na mojej tapicerce.

Jego słowa okazały się być strzałem w dziesiątkę. Jessica uniosła wzrok.

- Mao nie jest moim kotem - usłyszał jej spokojny, niemal beznamiętny głos. - Nie lubię kotów i na pewno nie zamieszkałabym z żadnym. Niemniej jednak, jeśli miałabym wybierać między mężczyzną a kotem, wybrałabym to drugie stworzenie.

- Dzięki - odpowiedział krótko. - Co robisz? Sporządzasz listę agencji nieruchomości, do których zadzwonisz w sprawie mieszkania?

- Bardzo śmieszne - odpowiedziała, wkładając końcówkę ołówka między zęby. - Ale mylisz się. Sporządzam listę zakupów. Lodówka jest pusta, Patrick.

Jego imię brzmiało w jej ustach wprost doskonale.

- Doprawdy? - udał zdziwienie. - Na szczęście nie jestem głodny. Idę wziąć prysznic.

Jessie otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, lecz zawahała się.

- O co chodzi tym razem? - ułatwił jej sprawę Patrick i westchnął.

- Obawiam się, że będzie to raczej zimny prysznic - zaczęła. - Zdaje się, że zużyłam resztki ciepłej wody. Wiesz, jak to jest przy dziecku...

- Z tego, co pamiętam, zostawiłem termę włączoną? A może się mylę?

- Wyłączyłam ją - odpowiedziała beztrosko. - Musimy trochę oszczędzać, o ile to ja mam płacić rachunki. Chyba rozumiesz?

Patrick rzucił jej wyniosłe spojrzenie,

- W porządku, zapomnij o rachunkach - odezwał się.  
- Biorę je na siebie. Ale od tej pory terma ma być nieustannie włączona, zrozumiąłeś?

Jessie odłożyła ołówek na bok.

- Mogę dostać to na piśmie? - zapytała.

- Pomyślę... - Patrick zniknął za drzwiami łazienki.

- Zostawię listę na stole w kuchni! - krzyknęła za nim głośno.

- Listę? Jaką listę? - Jego głowa ponownie pojawiła się w drzwiach sypialni.

- Jeśli w najbliższej przyszłości miałbyś jednak ochotę coś przekąsić - odezwała się, wstając z miejsca - powinieś najpierw odwiedzić najbliższy supermarket. Chyba że masz jakieś zapasy, o których nie wiem?

O mnie się nie martw. Została mi jeszcze paczka kotletów sojowych. Oczywiście, jeśli masz ochotę, to...

- Nie sądzę, abym kiedykolwiek zgłodniał aż tak bardzo. - Skrzywił się, jakby rozboleł go żąb. - Ale dziękuję za propozycję.

I nie czekając na odpowiedź, zniknął za drzwiami.

Scandalous



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Patrick zacisnął zęby, usilnie starając się przy tym powstrzymać od ciskania pod adresem Jessiki Hayes głośnych przekleństw. Nie było to łatwe.

W porządku, jeśli chciała wojny, będzie ją miała, postanowił, spłukując namydlone ciało strumieniem lodowatej wody.

Po chwili otrząsnął się i zaczął energicznie wycierać wyziębione ciało ręcznikiem.

Nie pójdzie jej z nim aż tak łatwo, o nie!

Owszem, wygrała może jedną bitwę. Być może nawet kilka bitew. On sam chwilami bliski był wywieszenia białej flagi, zwłaszcza kiedy niespodziewanie przebudził się z głową na piersi tej sekutnicy. Jednak chwile słabości nieodwracalnie minęły.

Od tej chwili Patrick Dalton i Jessica Hayes są w stanie wojny.

Patrick wyszedł z łazienki.

Drzwi do gabinetu były uchylone. Zajrzał do środka.

Jessica, wpatrzona w ekran komputera, wydawała się być bez reszty pochłonięta swoim zajęciem.

- Co robisz? - zapytał. - Zajmujesz się wyszukiwaniem w Internecie adresów wolnych mieszkań?

- Nie - odpowiedziała, nie odwracając nawet głowy.

- Prawdę mówiąc, postanowiłam wreszcie poszukać czegoś na własność. Zamierzam kupić dom.

- Kupić? To potrwa miesiące!

- Doprawdy? - Odwróciła się w jego stronę z uśmiechem pełnym ciepłego zrozumienia. - Więcej niż trzy?

Nic odpowiedział. Postanowił przecież, że nie da się sprowokować.

- Więc co z kolacją? - zapytała, zmieniając temat.

- Zgodnie z umową - odpowiedział, zapinając powoli guziki koszuli. - Ja idę po zakupy, ty natomiast gotujesz coś pysznego.

Nieoczekiwanie na dole w kuchni dał się słyszeć jakiś hałas. Oboje nadstawili uszu.

- To pewnie Grady - stwierdził Patrick uspokajającym tonem. - Musiałem źle zamknąć drzwi.

- Albo poradził sobie w inny sposób.

- To urocze, mądre psisko. - Patrick uśmiechnął się.

- Jednak są rzeczy, których nawet on nie potrafi. Jedną z nich jest właśnie otwieranie zamkniętych drzwi. Gdy będę wychodził, wyprowadzę go na zewnątrz. Jeśli sama się wpuścisz go do środka, zostanie na dworze.

- Z pewnością go nie wpuszczę, masz na to moje słowo - odpowiedziała mu bez uśmiechu, drżąc lekko. Wyglądało na to, że wzmianka o psie skutecznie zepsuła jej dobry humor.

Patrick zauważył jej roztrzęsienie, odwrócił się i wyszedł z pokoju. Obawy Jessie powodowały, że natychmiast nabierał ochoty, by się nią czułe zaopiekować. Nie powinien ulegać takim emocjom, toteż postanowił ignorować przerażenie panny Hayes.

W końcu oboje byli przecież w stanie wojny i nie wolno mu było o tym zapominać.

Po dotarciu do sklepu pierwsze kroki Patrick skierował w stronę działu mięsnego. Duży, lekko niedosmażony stek powinien raz na zawsze przytłumić niesmak, jaki odczuł na wzmiankę o kotletach sojowych.

Jeśli Jessie była wegetarianką, widok steku mógłby wzbudzić jej obrzydzenie. Cenna broń w walce, jaką ze sobą toczyli.

Jeśli nie jest wegetarianką, tym lepiej. Z pewnością nie będzie mogła patrzeć spokojnie, jak on zajada się pysznym, soczystym stekiem, podczas gdy sama jest skazana na pozbawioną barwy i smaku substancję.

Spojrzał na listę, którą sporządziła Jessie. Jajka, mleko i ekologiczna karotka.

Patrick załadował produkty do sklepowego wózka.

Na końcu rzeczy Bertiego. Paczka pieluszek, talk, mydełko rumiankowe...

Gdy dotarł do półek z artykułami dziecięcymi, poczuł, jak jego umysł odpływa powoli gdzieś w odległą, niemal zapomnianą przeszłość.

Przeszłość, pełną dziecięcych mydełek, słodkich, różowych ubranek i pluszowych maskotek...

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - spytała ekspedientka.

- Pomóc? - powtórzył za nią.

- Wygląda pan na nieco zagubionego - zauważyła. -

Czy szuka pan czegoś konkretnego? Dla syna czy córki?

Mary Louise, córka, przebiegło mu przez głowę.

Ekspedientka nie zrażała się jego milczeniem.

- Pewnie niedawno został pan ojcem, mam rację? - odezwała się, biorąc listę z jego dłoni. - Musi być pan bardzo szczęśliwy. To wspaniale, kiedy mężczyzna decyduje się w pełni uczestniczyć w wychowaniu dziecka. Musi się pan nim i żoną dobrze zaopiekować.

- Zgadza się - potwierdził krótko, chcąc jak najszybciej uciąć rozmowę.

Ekspedientka podała mu artykuły z listy.

Podziękował, odwracając się i szybko skręcając w najbliższą alejkę.

Niestety, i tu czyhała na niego pułapka. Nagle poczuł się jak schwytyany w sidła przerażony królik.

Z ciągnących się kilometrami półek to uśmiechały się do niego, to wykrzywiały twarze kolorowe misie, pajacyki i inne cudaczne stwory. Omal nic dostał oczopląsu ad mnogości barw i kształtów różnorodnych zabawek. Przystanął na chwilę, by uspokoić przyspieszony oddech.

To tylko zabawki, spróbował uspokoić w myślach samego siebie. To tylko zabawki...

Wyciągnął rękę po jedną z nich.

Miał wrażenie, że niemal w ogóle się nie zmieniły, od czasu kiedy...

Kiedy żyła moja córeczka, dokończył w myślach.

- Decyduje się pan?

Patrick, zdziwiony, odwrócił głowę. Kolejna ekspedientka, stojąca tuż za nim, wskazywała dłonią samochodzik, który trzymał w ręku.

Czy, do diabła, naprawdę nie mają tu nic lepszego do roboty, zaklął w duchu. Znowu poczuł się jak osaczony.

- To? A tak, dziękuję - odpowiedział, wkładając zabawkę do wózka.

Tym razem udał się możliwie najkrótszą drogą prosto do kasy, a stamtąd na parking samochodowy, gdzie zostawił wóz.

- W porządku, panno Hayes - wymruczał sam do siebie, wkładając zakupy do bagażnika. - Jesteśmy dwójkiem dorosłych ludzi i, jak sędzę, znajdziemy jakieś rozsądne wyjście z sytuacji.

W końcu to tylko kilka dni, najwyżej parę tygodni, pocieszał się w duchu.

Jeśli Jessica Hayes zamierza przez ten czas okupować jego mieszkanie, będzie również musiała przystać na niektóre warunki.

Jessie wyłączyła komputer i zeszła do kuchni.

Musiała przyznać, że choć z pewnością znalazła się w kłopotliwej sytuacji, to w sumie była dobrej myśli, a i jej nastrój poprawiał się z minuty na minutę.

Wydawało się, że w ciągu kilku najbliższych tygodni, jakie spędzą z Patrickiem pod wspólnym dachem, to ona będzie dyktować warunki. W tej sytuacji obecność pana Daltona w jej domu stawała się możliwa do zaakceptowania. Tym bardziej że w pewnym sensie był to również jego dom.

Uspokojona i całkowicie już rozluźniona, sięgnęła do torebki po telefon komórkowy.

Może zamówienie czegoś dla nich obojga z jej ulubionej włoskiej restauracyjki będzie najlepszym dowodem jej dobrych chęci?

Chrupiący kurczak i mnóstwo sałatek, na deser tiramisu w polewie waniliowej... Może nawet butelka wytrawnego wina?

Ledwie skończyła składać zamówienie, gdy nieoczekiwanie drzwi na dole otworzyły się z głuchym trzaskiem. Powiew chłodnego powietrza owionął jej plecy.

- Patrick, to ty? - zawołała. - Muszę przyznać, że jesteś szybki!

Odrzuciła się, przywołując na twarz wyraz niczym nie zmaconej pewności siebie.

Niech szanowny pan Patrick Dalton nie wyobraża sobie, że ma nad nią przewagę. Nie będzie jej ciosał kołków na głowie.

Jednak przed nią, opierając przednie łapy o krzesło, stał pies Patricka.

Nie było dobrze.

A wyglądało na to, że będzie jeszcze gorzej.

W drzwiach stanął Mao, który z pewnością był znowu głodny.

Stanął i... zamarł.

Na widok kota w oczach Grady'ego zapaliły się niebezpieczne błyski. Pies nasrożył sierść, zawarczał i, jakby ubyto mu przynajmniej kilka ładnych lat, ruszył za kotem.

Patrick zaparkował samochód na podjeździe przed domem. Zanim wysiadł z samochodu, sięgnął po telefon komórkowy. Wymyślając sobie od ostatnich idiotów, wykręcił numer chińskiej restauracyjki" i zamówił obiad dla dwóch osób.

Wydobycie zakupów z bagażnika zajęło mu dosłownie chwilkę. Kolejna chwilka, i stanął przed drzwiami wejściowymi do domu. Zdziwiło go, że są otwarte.

Postawił ostrożnie torby z zakupami na podłodze w holu. Wokół panowała głucha cisza.

Drzwi do kuchni skrzypnęły cichutko pod naporem jego palców. Wsunął głowę do środka i zamarł.

Wywrócone do góry nogami krzesła, ślady krwi na podłodze, kałuża rozlanego mleka, wyrwany z gniazdka telefon... I ani śladu Jessie czy Bertiego.

- Jessie! - zawołał, czując jednocześnie, jak jego gardło ściska paraliżujący strach. - Jessie, Bertie, gdzie jesteście?! Odezwijcie się!

W odpowiedzi usłyszał jedynie zajadłe szczeknięcie Grady'ego.

- Sypialnia! - zawołał, lokalizując szybko źródło dźwięku.

Bieg na górę nie zajął mu więcej niż ułamek sekundy. Tyle samo, ile zorientowanie się w sytuacji, gdy stanął w końcu w otwartych drzwiach sypialni.

Grady, wściekły i rozjuszony jak byk na arenie, stał z uniesionym w górę łbem, nie spuszczać badawczego wzroku z karniszy. Obiektem jego zajadłej agresji okazał się Mao.

- Grady, do nogi! - wykrzyknął Patrick, omiatając jednocześnie wzrokiem wnętrze sypialni. Nigdzie ani śladu Jessie czy dziecka.

To jakiś koszmar, przebiegło mu przez głowę. Za nic w świecie nie powinienem być zostawiać jej samej! Nie z Gradym!

Zbiegł na dół, otwierając po drodze wszystkie możliwe drzwi. Dom sprawiał wrażenie pustego.

W chwili kiedy już wymyślał najgorsze scenariusze, z okolic kuchni dobiegło go czyjeś wołanie. Ciche i dziwnie odległe.

Zatrzymał się w pół kroku, nasłuchując. Ktoś wzywał go po imieniu. Jessie?

Wołanie dobiegało ze schowka pod schodami.

Podbiegł tam szybko i otworzył drzwiczki. Jessie!

Zwinięta w kłębuszek i ledwie żywa z przerażenia siedziała w środku, z całej siły przyciskając do siebie Bertiego.

- Myślałam, że nigdy nie przyjdiesz - odezwała się ledwie słyszalnym szeptem. - Nie słyszałeś, jak cię wołałam? Ogłuchłeś?

- Czy cię słyszałem?! - wykrzyknął. Ulga, że odnalazł ich oboje zdrowych i całych, zapierała mu dech w piersi. Miał ochotę skakać z radości. - Moja droga, czy naprawdę myślisz, że latałbym jak oszalały po całym domu, gdybym cię słyszał?

- Wołałam z całych sił. - Pomógł jej wydostać się na zewnątrz. - Nie sądziłam, że jest aż tak źle...

Jej wzrok padł na podłogę kuchni i zatrzymał się na kałuży mleka i porozbijanych naczyniach. Patrick podążył za jej spojrzeniem.

- Zapewniam cię, że jeden źle ułożony słoń w składzie porcelany poczyniłby większe szkody - próbował żartować. - Najważniejsze, że tobie i dziecku nic się nie stało.

*Jessie pobiła gwałtownie.*



- Jak mogłam być aż tak głupia! - jęknęła. - Gdyby tylko coś stało się Bertiemu... Nigdy bym sobie nie darowała. Rozumiesz, nigdy! To moja wina!

Patrick zbliżył się do niej. Doskonale wiedział, co mogłoby ją uspokoić. Jeden ruch z jego strony, czuły gest, może pocałunek...

Jednak tym razem nie znalazł w sobie dość odwagi.

- Przestań - poprosił. - Słyszysz? Przestań!

- Tak niewiele brakowało!

- Nic się nie stało - przerwał jej. - I to jest najważniejsze, prawda?

Tym razem się nie wahał, po prostu przytulił mocno Jessie, a wraz z nią Bertiego.

- Nic się nie stało - powtórzył. - I nic nie ma prawa się stać. Obiecuję.

Spojrzała w górę, po policzkach płynęły jej wielkie jak groch łzy.

- Przepraszam - wyszeptwała.

- Nie, to ja przepraszam. Nie masz pojęcia, jak mnie przeraziłaś... I nie chciałbym, żebyś kiedykolwiek się dowiedziała. Nigdy nie powinienem był zostawiać cię samej, wiedząc, jak bardzo boisz się psów. Proszę, nie płacz już, Jessie...

- Ty też płaczesz. - Jessie dotknęła dłonią jego policzka, jakby nie do końca wierząc w to, co widzi. - Patrick, ty drżysz!

Instynktownie wyciągnęła ramię, by go objąć. Objąć i uspokoić.

- Patrick, proszę - usłyszał jej głos, czując jednocześnie na policzku dotyk jej ust. - Wszystko w porządku,

widzisz? Nic nie stało się ani mnie, ani Bertiemu. Zresztą, to wszystko moja wina. Gdybym nie była taką idiotką, nigdy by do tego nie doszło. Słyszysz, to moja wina, nie Grady'ego. Spójrz tylko...

Chwyliła w dłonie jego twarz, unosząc ją tak, by widział ją i dziecko.

Kiedy ich oczy znalazły się dokładnie naprzeciwko siebie, a usta dzieliła jedynie odległość oddechu, zbliżyła swe wargi do jego ust i ucałowała go.

Przez moment miał wrażenie, że czas cofnął się dokładnie o dziesięć lat...

Nie chciał tego. Nie lubił takich życiowych komplikacji, niespodzianek i odstępstw od codziennej rutyny. A teraz wszystko zaczynało się walić, bo ta zwariowana kobieta i jej dziecko pojawili się nieoczekiwanie w jego domu.

Chciał żyć sam na sam ze swymi wspomnieniami. To łatwiejsze, bo nie trzeba dzielić z nikim radości ani bólu.

- Proszę, nie... - wyszeptał. Nie był gotów na powrót do normalnego życia. Nie sądził, że kiedykolwiek będzie gotów. - Powiedz mi, co ty, do diabła, robiłaś w schowku na szczotki?

- A co ty, do diabła, sądzisz, że tam robiłam? - wykrzyknęła zdziwiona, odsuwając się od niego. - Schowałam się tam przed tym potworem!

- Grady nie jest... - urwał gwałtownie. No tak, chyba jednak nie tędy droga, - Nic przyszło ci do głowy, żeby po prostu wyjść z kuchni, zamykając za sobą drzwi?

- Może cię to zdziwi, ale nie. Poza tym nie miałam zbyt wiele czasu na myślenie. - Spojrzała na niego re-

zolutnie. - Owszem, schowek na szczotki nie jest może genialnym rozwiązaniem, ale były to pierwsze drzwi, jakie otworzyłam. Po prostu wskoczyłam do środka. A przy okazji, nie wiesz, jak Grady mógł się tu dostać?

- Może drzwi były niedomknięte? - Odsunął się od niej, by sprawdzić klamkę. - Poza tym nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie twój kot.

- Mao nie jest moim kotem!

- W takim razie, gdyby ciebie tu nie było!

- Mylisz się! - wykrzyknęła, bezsilnie zaciskając pięści. - Nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie było tutaj ciebie! Skończyłam właśnie rozmawiać przez telefon, kiedy usłyszałam, że drzwi się otwierają. Byłam pewna, że to ty...

Drżała znowu. Tym razem powodem jednak nie był pies, lecz jego pan. Boże, przed chwilą pocałowała Patricka.

I nie był to taki sobie zwykły, przyjacielski pocałunek. Raczej taki, o jakim pamięta się całe życie. A zarazem taki, który można przerwać, ot, tak sobie, i odejść.

W ten właśnie sposób postąpił przed chwilą pan Dalton, złościła się w duchu. Nie umiała powiedzieć, czy czuje się bardziej zła, czy upokorzona.

Patrick, zaniepokojony milczeniem Jessie, podszedł do kredensu i wyjął karafkę i szklanekę.

- Proszę. - Podał jej szklanekę wypełnioną płynem.

- Wypij. Powinno pomóc.

Jessie posłusznie spełniła jego polecenie.

- Okropne! - skrzywiła się.

- Im gorzej smakuje, tym lepiej skutkuje - pocieszył ją. - Jeszcze jeden łyk.

Zrobiła, jak kazał.

- Nie rozumiem jednego - odezwał się, biorąc z jej rąk szklanę. - Dlaczego, do diabła, nie wyszłaś na zewnątrz, kiedy już było po wszystkim? Musiałaś przecież słyszeć moje wołanie.

- Owszem - potwierdziła. - Ciekawa jestem tylko, w jaki sposób ty wyszedłbyś z szafki na szczytki, która ma klamkę tylko z jednej strony?

- Klamka tylko z jednej strony? - powtórzył, wyobrażając sobie panikę, w jaką musiała wpaść Jessie. - Racja.

Ponownie podszedł do kredensu, postanawiając przetestować lecznicze działanie brandy również na sobie.

- Przeszukałem cały dom, wyobrażając sobie najgorsze. Martwiłem się o ciebie i dziecko - przyznał, nie patrząc w jej stronę. - Nie masz nawet pojęcia, jak byłem przerażony...

- Przerażony? - zdziwiła się. - Myślałam, że jeśli chodzi o przerażenie, to jestem w tym. bezkonkurencyjna.

- Jak widać, myliłaś się. - Delikatnie dotknął jej dłoni. - Jessie, nie wyobrażasz sobie, jak mi przykro, że musiałaś przez to przejść. Ale nie rozpamiętujmy tego dłużej. Zaraz posprzątam w kuchni i...

- Ja to zrobię. To moja wina.

- Nawet tak nie myśl. Przepraszam, że kiedykolwiek twierdziłem coś innego.

- Dziękuję ci, Patrick - odpowiedziała cicho. Przez chwilę przypatrywała się, jak zbiera z ziemi kawałki porzuczonych talerzy. - Czy miały dużą wartość?

- Wartość? - powtórzył za nią. - To zależy... Dla

mnie ogromną. Kupiłem je dla Belli w Wenecji, podczas naszej podróży poślubnej.

- Dla żony? - upewniła się.

Tej samej, która odeszła, na otarcie łez zostawiając ci psa, dodała w duchu.

- To był dzień jej urodzin - kontynuował Patrick, jakby z trudem przypominając sobie szczegóły, których Jessie wcale nie chciała znać. - Zanim wróciliśmy tego dnia do hotelu, po drodze zrobiliśmy sobie jeszcze mały piknik. Gdzie to było? Człowiek zapomina, chociaż wydaje mu się, że o takich rzeczach będzie pamiętał zawsze.

- Czy były ubezpieczone?

- A jaką wartość może mieć wspomnienie wspólnie spędzonego dnia, Jessie? - Patrick jakby ważył przez chwilę w dłoni fragment rozbitego talerza. - Jaką wartość ma moment, który już nigdy się nie powtórzy? Powiedz, gdzie można ubezpieczyć takie chwile, by nie odeszły w niepamięć lub nie wyblakły jak stara fotografia?

- Od dawna jesteście rozwiedzeni?

- Rozwiedzeni?! - roześmiał się gorzko. - Nie jesteśmy rozwiedzeni. Bella była typem kobiety...

- Była? - Pytanie wyrwało się z ust Jessie szybciej, niżby tego chciała.

Patrick odwrócił w jej kierunku wzrok. Jego spojrzenie było łak mroczne i nieobecne, że Jessie naprawdę odczuła strach.

- Pijany kierowca dosłownie staranował jej samochód. Nawet gdyby zauważył światła, najprawdopodobniej nie byłby w stanie się zatrzymać. Zginęła na miejscu - wyrecytował głucho.

- Dziesięć lat temu... - Jessie pokiwała głową, jakby składając w całość to, co przed chwilą usłyszała. - Tak mi przykro.

Pragnęła podejść do niego, wziąć jego dłoń w swe ręce, objąć, pocieszyć... Zbyt dobrze wiedziała jednak, że nie może mu pomóc.

- Widzisz więc, że w hierarchii życiowych nie-szczęść kilka potłuczonych talerzy nie może mieć wielkiego znaczenia. Jak również kilka zagubionych gdzieś wspomnień... - powiedział głuchym głosem.

- Wspomnień nie da się zagubić, Patrick - odezwała się, zdziwiona, że mówi tak spokojnie. - Nie wtedy, kiedy naprawdę chcesz je przy sobie zatrzymać. Wspomnienia żyją w twoim wnętrzu, w twojej głowie, w twoim sercu. Są częścią twojej osobowości. To sposób, w jaki uśmiechasz się, gdy słyszysz melodię, którą oboje lubiliście. Albo gdy coś przypomni ci kolor sukni, jaką miała na sobie, gdy poznaliście się...

Odwrocił głowę, wsłuchując się z natężeniem w jej słowa.

- Jedyne ból i cierpienie z czasem słabną - kontynuowała. - Jeśli tylko im na to pozwolisz. Jeśli nie dopuścisz, by wrosły na stałe w twoją duszę. Jeśli dasz szansę zaistnienia nowym wspomnieniom...

- Myślisz, że to prawda? - spytał z silnym powątpiewaniem.

- Jestem tego pewna - odparła. - Powinam już iść. Muszę przyszykować Bertiego do snu. Jesteś pewny, że dasz sobie radę?

- Możesz być spokojna - uśmiechnął się blado. - Jak

również o mieszkanie tutaj. Trzy miesiące to w końcu nie tak długo.

Trzy miesiące, powtórzył w duchu. Nie tak dawno godził się na kilka dni, co najwyżej tygodni. Jak to się stało, że mówi teraz o miesiącach? Jak i kiedy?

Gdzieś między umysłem a emocjami, między śniadaniem a obiadem, między przeszłością a teraźniejszością.

Patrick, patrząc za odchodzącą Jessie, zrozumiał nagle, że wszystko, co robił aż do dzisiejszego dnia, zeterminowane było wspomnieniami i bólem. To one były motorem jego działania. One pozwalały mu zasnąć każdego wieczoru i obudzić się następnego ranka. Tak bardzo bał się je utracić, by nie pogłębiać otaczającej go pustki...

- Jessie!

Odwróciła głowę.

- Połóż małego spać i wracaj szybko. Porozmawiamy o tym, jak sensownie ułożyć sobie życie pod wspólnym dachem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- To bardzo miłe z twojej strony, Patrick. - Jessie spojrzała na niego uważnie. - Jednak oboje wiemy, że to nie zadziała.

- Nie zadziała?

- Mogę dzielić dom z tobą... - zaczęła z wahaniem  
- ...ale nie wyobrażam sobie, bym wytrzymała z twoim dzikim psem.

- O to się nie martw, coś wymyślę - odparł i odechnął z ulgą, że jedynym problemem okazał się Grady.

- A przy okazji, oto zakupy, o które prosiłaś.

- Dzięki. - Wzrok Jessie powędrował w ślad za jego spojrzeniem i zatrzymał się na papierowych torbach. - Ile jestem ci winna?

- Zapomnę o sprawie, jeśli zdecydujesz się stąd wyprowadzić - zażartował.

- Niezły ruch - skwitowała z uśmiechem, otwierając jednocześnie jedną z toreb. - Chyba jednak cenisz mnie wyżej niż kilogram ziemniaków i paczkę chusteczek higienicznych. A to co?

Patrick spuścił wzrok, wyraźnie zawstydzony.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia - odezwał się, i potem głośno odchrząknął. - Jest kolorowe i ma gu-



ziczki, które po przyciśnięciu wydają przyjemne dźwięki. Pomyślałem, że Bertiemu się spodoba.

Jessie jak zahipnotyzowana zwracała wzrok to na Patricka, to na zabawkę, którą trzymała w ręku.

- Czy możesz mi wyjaśnić, w co ty, do diabła, grasz?

- zapytała oschle.

Dobre pytanie, przyznał w duchu,

- Jessie, to tylko zwykła zabawka - odezwał się głośno. - I zdaje się, że jedynym, który tu będzie w coś grał, jest Bertie, nic sądzisz? Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Może chciałem wyrzucić wrażenie na ekspedientce w sklepie, która podejrzewała, że jestem świeżo upieczonym tatusiem? Zresztą, zadajesz zbyt dużo pytań.

Nie wyglądała na usatysfakcjonowaną jego odpowiedzią. I Patrick wcale jej się nie dziwił.

- Jesteś niemożliwy, wiesz? - rzuciła i z zabawką w jednej ręce i z Bertiem w drugiej pospiesznie wyszła z kuchni.

Co tu się, do diabła, dzieje? Przecież jesteśmy dwójgim dorosłych ludzi, których los przypadkowo zetknął ze sobą na kilka tygodni, najwyżej kilka miesięcy...

Co się ze mną dzieje, zastanawiała się gorączkowo Jessie, powoli wspinając się po schodach.

Patrick Dalton, oto cały problem. Mężczyzna z domem, psem, zmarłą żoną i niekonwencjonalnym podejściem do życia. To właśnie się dzieje!

Jessie rzuciła delikatnie wylegującego się na sofie Mao, przebrała Bertiego i ułożyła go do snu. Zakwilił cichutko.

Nie zmartwiła się tym. Chłopczyk był tak zmęczony, że po prostu musiał lada moment zapaść w sen.

Zapaliła nocną lampkę, a potem poszła do łazienki. Postanowiła wziąć szybki, gorący prysznic.

Skoro sam Patrick Dalton zdecydował się pokrywać koszty ogrzewania wody w termie, grzechem byłoby z tego nie skorzystać, przekonywała samą siebie. Do tego czasu Bertie powinien już smacznie zasnąć.

I rzeczywiście, gdy po skończonej kąpieli szum wody ustał, z pokoju obok nie dochodził żaden dźwięk.

Zadowolona i odprężona, z ręcznikiem owiniętym wokół ciała, stanęła w drzwiach sypialni.

- Stanęła i oniemiała.

- Czy ktoś może mi wyjaśnić, co tu się dzieje? - wykrzyknęła, gdy już odzyskała głos.

Na podłodze leżał Patrick. Tuż obok niego, z zabawką w ręku i błogim uśmiechem na ustach, baraszkował Bertie. Nie spał i najwyraźniej był od tego stanu bardzo daleki.

Patrick odwrócił głowę, przypatrując jej się przez chwilę bez słowa, po czym powiedział krótko:

- Płakał.

- Oczywiście, że płakał. Dzieci na ogół protestują, kiedy kładzie się je do łóżeczka - odpowiedziała opryskliwie, nie kryjąc złości. - Wystarczy tylko zostawić je w spokoju, a po chwili przestają.

- Ale po co, skoro mogłem się nim zająć?

- Jasne! I to właśnie, jak sądzę, nazywa się zakładaniem pętli na własną szyję. Pomyślałeś o tym choć przez chwilę, mądralo?

- On jest jeszcze taki maleńki, Jessie. Ostatnie dni również dla niego były trudne. Wszystko, czego potrzebował, to odrobina zainteresowania.

- Rozumiem - odpowiedziała, uśmiechając się ironicznie. - Zapewne masz rację. W końcu, co ja mogę na ten temat wiedzieć?

- Przepraszam, Jessie. - Patrick wstał z miejsca. - Jesteś bardzo dobrą matką, Bertie, dosyć tego dobrego, pora spać, maluchu!

Położył dziecko do łóżka i przykrył kocykiem. Bertie wydawał się dość zadowolony z obrotu sprawy, zwłaszcza że nikt nie odebrał mu zabawki.

W tym samym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

- To pewnie nasz obiad. - Jessie spojrzała na zegarek. - Patrick, czy mógłbyś odebrać? Narzucę coś na siebie i zaraz zejdę na dół.

- Tak, to pewnie nasz obiad - potwierdził, dziwiąc się jednocześnie, skąd Jessie wie, że zamówił jedzenie. - Ale jeśli o mnie chodzi, możesz zostać w samym ręczniku. Serio.

Zamilkł i ostentacyjnie wlepił wzrok w Jessie.

- Bardzo lubię delikatne, seksowne tatuaże - dodał po chwili.

Jessie nerwowo obciągnęła ręcznik, dokładnie zakrywając uda i starając się przy tym nie odsłonić innych części ciała.

Patrick sam do końca nie wierzył, że to powiedział. Jednak jeszcze tydzień temu zaistniałą sytuację uznałby

za absolutnie niemożliwą. A teraz dzielił dom z młodą i atrakcyjną kobietą oraz z jej malutkim synkiem.

Popatrzył na swe dłonie, które dosłownie przed chwilą czuły ciężar małej, słodkiej istotki. Miał wrażenie, że delikatny zapach Bertiego przeniknął na wskroś jego ubranie i skórę rąk, a przede wszystkim - umysł.

Do tej pory nie zdawał sobie nawet sprawy, jak za tym tęsknił. Za pierwszym zębem, pierwszym krokiem, pierwszym wypowiedzianym przez dziecko słowem, za pierwszym dniem w szkole...

Otworzył drzwi frontowe. W progu stał dostawca z restauracji. Patrick odebrał pojemniki, podpisał czek i zamknął starannie drzwi.

Jedzenie pachniało znakomicie, choć może nie tak, jak się tego spodziewał. Zerknął do środka.

Jednak bardziej niż zawartość tekturowego opakowania zainteresowało go co innego.

Na środku kuchni, wciągając w nozdrza smakowity mięsny zapach i wesoło merdając ogonem, stał Grady.

Drzwi wejściowe były otwarte.

Dzwonek u drzwi zadzwonił ponownie.

Jessie wyłączyła suszarkę i ruszyła energicznie na dół. Ktoś po drugiej stronie drzwi najwyraźniej zaczynał tracić cierpliwość.

W progu stał dostawca z restauracji. Jessie podpisała czek, odebrała pojemniki i starannie zamknęła drzwi.

Wokół nie było nawet śladu Patricka.

Jessie weszła do kuchni i otworzyła tekturowe pudełko z jedzeniem.

- O, do diabła, a to co takiego? - wykrzyknęła na widok zawartości pudełka.

Nagle za plecami dał się słyszeć dźwięk otwieranych drzwi. Odwróciła głowę.

W progu, merdając ogonem, stanął Grady. Na szczęście tuż za nim stał jego pan.

Jessie musiała przyznać, że wyglądał dość smętnie.

- Miałaś rację, Jessie - • powiedział.

- Czemu wydajesz się taki zdziwiony? - odpowiedziała, nie spuszczać wzroku z psa. - A o co chodzi tym razem?

- Wyjdę na zewnątrz i pokażę ci.

- Jak przypuszczam, zamierzasz zamknąć mnie sam na sam z tym paskudnym zwierzęciem? - zaśmiała się nerwowo. - Obiecuję ci, że jeśli to zrobisz, natychmiast zawiadomię prasę.

Mówiąc to, chwyciła telefon komórkowy na znak, że nie żartuje.

- Po pierwsze, Grady nie jest paskudny, choć niewątpliwie jest zwierzęciem. Po drugie, wyczerpuje ci się bateria. A po trzecie, nie mów głupstw.

Patrick wydawał się szczerze rozbawiony.

- Grady, do nogi!

Pies posłusznie odwrócił się w kierunku swego pana. Patrick wprowadził go do środka, dokładnie zamykając przy tym kuchenne drzwi.

- A teraz co? - zapytała.

- A teraz czas, by Grady pokazał ci swoją nową sztukę - odpowiedział, odsuwając się od drzwi. - Grady, otwórz drzwi!

W tym samym momencie potężne cielsko psa zawisło przednimi łapami na klamce i drzwi stanęły otworem.

Jessie wzdrygnęła się.

- Ciotka Molly, u której zostawiłem Grady'ego, wspominała mi coś, że nawet starego psa można jeszcze czegoś nauczyć, ale jakoś puściłem to wtedy mimo uszu - odezwał się wyjaśniająco. - Jak się okazuje, popełniłem błąd.

Nakazał psu usiąść i kucnął obok niego.

- Grady! - zakomenderował. - To jest Jessie. Twoja obecność sprawia, że Jessie traci dobry humor, więc chciałbym, żebyś pokazał nam teraz, że jesteś grzecznym i dobrze wychowanym psem. Podejdź do niej i przedstaw się jak należy!

Jessie, słysząc to, zrobiła krok do tyłu.

- Nie, dziękuję, może innym razem - jęknęła.

- Jessie, jeśli zamierzasz tu zostać... - zaczął. - Po-daj mi rękę.

Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że miał rację. Mimo to nie potrafiła zdobyć się na odwagę.

- Jessie, nie dopuszczę, by cokolwiek złego ci się stało, obiecuję. - Wyciągnął rękę w jej kierunku.

- Nie mogę... - usłyszał jej ledwie słyszalny szept. - Po prostu nie mogę.

- Owszem, możesz. Jesteś silniejsza od swoich wspomnień i lęków, uwierz mi. - Nadal ani drgnęła. - Jeśli Bertie znalazłby się nagle w niebezpieczeństwie, zapomniałabyś o strachu, mam rację?

- Tak...

- Tak - potwierdził. - Wyobraź więc sobie, że mu-

sisz to zrobić. Wierz mi, Grady jest najłagodniejszym psem na świecie. Nie skrzywdziłby nawet muchy. Spytaj zresztą swego kota.

Jego dłoń o smukłych, długich palcach nadał czekała. Dotknięcie jej mogło okazać się równie niebezpieczne, jak dotknięcie Grady'ego.

- Mao nie jest moim kotem - wycodziła przez zacisnięte zęby, wkładając jednocześnie dłoń w rękę Patricka.

Jego palce oploty delikatnie jej dłoń, po czym zacisnęły się mocno na przegubie. Nie miała już wyboru.

- O tym porozmawiamy później - odpowiedział.

Drżała. Drżała tak bardzo, że pewnie najchętniej uciekłaby, gdzie pieprz rośnie. Prawdopodobnie, gdyby nie Bertie śpiący na górze, już dawno by to zrobiła.

Patrick zbliżył jej dłoń do pyska psa.

- Pozwól, by poznał twój zapach - odezwał się łagodnie. Wydała cichy, gardłowy dźwięk. - Trzymam twoją rękę. Pamiętaj, że nic złego nie może się stać.

- Co, jeśli nagle pojawi się kot? - zapytała przez zacisnięte gardło.

- Jeśli nagle pojawi się kot, zapewniam cię, że będziesz ostatnią istotą, jaka zainteresuje wtedy Grady'ego

- mówiąc to, Patrick obrócił jej dłoń wierzchem do dołu.

- A teraz pozwól, by Obwąchał dokładnie twoje palce. W porządku, wystarczy. Grady, siad! Powiedz to samo, Jessie!

- Grady, siad?

- Dokładnie tak. Tylko włóż w to trochę życia. Niech poczuje, że to nakaz.

Spróbowała rozluźnić ucisk gardła, który nie opuszczał jej od momentu, kiedy w otwartych drzwiach kuchni zobaczyła Grady'ego. Zawołała do niego, jak żądał Patrick. Udało się.

Pies usiadł posłusznie.

- Świetnie! - pochwalił ją Patrick. - Widzisz, to wcale nie jest takie trudne.

- I to wszystko?

- A czego się spodziewałaś? - Patrick ruchem ręki nakazał psu opuszczenie kuchni. - Myślałaś, że włożę mu twoją rękę do pyska?

- Mniej więcej...

- Poznaliście się i na dzisiaj koniec. Resztę zostawimy sobie na kiedy indziej. - Mówiąc to, dokładnie zamknął drzwi za znikającym za nimi psem, chociaż, biorąc pod uwagę najnowsze umiejętności Grady'ego, był to raczej zbędny gest. - Czy możemy zacząć już jeść?

- Oczywiście. - Jessie wyraźnie odetchnęła z ulgą. - Jest tylko jeden mały problem.

- To znaczy?

- Zamówiłam dla nas obiad z małej, włoskiej knajpki, ale jakby to powiedzieć... Przywieźli coś, czego z pewnością nie zamawiałam.

- Teraz rozumiem... Właśnie dziwiłem się, dlaczego zamiast wołowiny w pięciu smakach z ryżem, dostarczyli mi pieczonego kurczaka z frytkami. Jak widzisz, ja również zamówiłem obiad.

- Żartujesz?! - Jessie uśmiechnęła się. - W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak znalezienie dwóch całych i czystych talerzy. Mam rację?



Pokiwał głową.

Opróżnienie zawartości obu kartonowych pudełek nie sprawiło im żadnego kłopotu. Jessie nie pamiętała już nawet, kiedy ostatnio jadła solidny posiłek.

- Proponuję, żebyś zajęła sypialnię - odezwał się Patrick. - Ja prześpię się dzisiaj na sofie w salonie.

- Ale...

- No chyba że zgodzisz się znowu dzielić ze mną łóżko - przerwał jej. żartobliwie. - Ostatnio było bardzo przyjemnie, prawda?

Patrząc na niezwykle pewną minę Patricka, Jessie niemal postukała się w głowę. Właściwie dlaczego dręczyły ją jakiegokolwiek wyrzuty sumienia? Zapłaciła przecież fortunę za to, by móc spać spokojnie i w dodatku... sama.

- Jutro zajmę się porządkowaniem rupieciarni - mówił dalej. - Jestem pewien, że będzie ci tam całkiem wygodnie.

- Rupieciarnia?! Dlaczego niby ja miałabym się tam przenieść?

- Sądzę, że tak będzie dużo prościej. Ja musiałbym przynieść tam wszystkie swoje rzeczy, podczas gdy ty jesteś jeszcze nie rozpakowana. Przynajmniej tak sądzę, bo nadal korzystasz z mojego szlafroka.

Musiała przyznać, że miał rację.

- W porządku - mruknęła na pozór potulnie. - Ale pod jednym warunkiem: gabinet z komputerem również będzie do mojej dyspozycji.

- Proszę bardzo. Mnie nie jest chwilowo potrzebny - przystał od razu. - A przy okazji, można wiedzieć, dc czego będzie ci potrzebny komputer?

- Do pracy. Zajmuję się projektowaniem witryn internetowych.

- Ciekawe... - Chyba był pod wrażeniem. Jak wszyscy zresztą mężczyźni, kiedy wspominała o swoim zajęciu. - Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć.

- Z przyjemnością. Nie uwierzysz, ale do niedawna praca była moją jedyną pasją.

Patrick, słysząc ją, uśmiechnął się tak, że w kuchni od razu pojaśniało.

Patrząc na niego, Jessie mimowolnie odwzajemniła jego uśmiech. Doskonale jednak zdawała sobie sprawę z tego, jak głupio postępuje. Powinna być ostrożniejsza. Jeszcze nie tak dawno obiecywała sobie solennie, że nigdy więcej nie da się nabrać na czar męskiego uśmiechu. I bardzo chciała tej obietnicy dotrzymać.

- W porządku. - Głos Patricka wyrwał ją nagle z zamyślenia. - Tak jak powiedziałem, możesz korzystać z komputera, kiedy tylko masz ochotę. Poza tym zajmiesz się podlewaniem kwiatków, a raczej tego, co z nich zostało.

- Zgoda. To samo przerabiałam z Careną.

- W takim razie wszystko jasne - skwitował i spojrzał na resztki kurczaka na talerzu. - Wiesz, bardzo mi smakowało. Chyba również zacznę się tam stołować. Jaka to restauracja?

- „U Giovanniego” - odpowiedziała w zamyśleniu.

- Swego czasu często tam bywałam.

- Z Tonym?

Kiwnęła głową na potwierdzenie.

Jak to się stało, że opowiadała mu takie historie? Patrick był przecież zupełnie obcym człowiekiem.

- Może powinnaś wpłynąć jakoś na ojca Bertiego - usłyszała jego głos. - Dla dobra dziecka.

Dla dobra dziecka, powtórzyła w duchu.

Czuła się okropnie, ukrywając przed Patrickiem prawdę na temat Bertiego. Brzydziła się kłamstwem. Przynajmniej tak było do tej pory...

- Kończ szybko - odezwała się, jakby nie słysząc tego, co powiedział. - Jest jeszcze deser.

- Na mnie nie licz - odpowiedział. - Nie po takim obiedzie!

- W takim razie chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym zabrała swój na górę? Muszę jeszcze trochę popracować.

A raczej się stąd ewakuować, szepnął jej złośliwy głos wewnętrzny.

- Nie, nie przeszkadzaj sobie - odpowiedział.

Stojąc już przy drzwiach, odwróciła się na chwilę w jego kierunku.

- Poradzisz sobie z naczyniami, prawda? - Nie czekając na odpowiedź, zniknęła za drzwiami.

Ciekawe, zastanawiał się Patrick, kiedy został już sam. Ciekawe, dlaczego Jessica tak obsesyjnie chroni ojca Bertiego? A może wzbudzał w niej lęk? Jedno było pewne, nie chciała o nim rozmawiać.

Miał na imię Tony. To jednak trochę za mało, by go odszukać.

Może nadal mieszkał pod swym starym adresem? A jeśli nie, może mają w recepcji jego nowy numer telefonu? Warto to sprawdzić. •

Patrick zerknął na sofę. Nie wydawała się duża. Ani zbyt wygodna, o ile oczywiście miała służyć do spania.

Musi jak najszybciej uprzątnąć rupiecarnię. I najlepiej już jutro kupić nowe łóżko.

Nowe łóżko? O czym ja myślę? Przecież to wielkie ustępstwo wobec Jessie. Prawie zaproszenie, by została tu, jak długo ma ochotę. Być może na zawsze.

A właściwie, dlaczego nie?

Bertie spał smacznie.

Patrick został w bezpiecznej odległości, czyli na dole. Wszystko wydawało się być pod kontrolą.

Może idąc za radą Patricka, powinna położyć się i korzystając z chwili spokoju, porządnie odpocząć?

Intuicja podpowiadała jej, że tak właśnie należałoby postąpić. Jednak jej przekłete poczucie obowiązku było odmiennego zdania.

Postanowiła pójść za głosem intuicji. Wzięła szybki prysznic, wyszczotkowała włosy, przebrała się w piżamę i, nie tracąc ani chwili dłużej, wskoczyła do łóżka.

Do uszu Patricka dobiegł nagle głośny płacz dziecka.

Obrócił się na bok, zaplątując się natychmiast w koc, którym był okryty, a po chwili wylądował względnie miękko na podłodze.

Zaklął, wyplątał się z koca i wstał.

Był środek nocy. Płacz dziecka zdawał się przybierać na sile. Patrick wzdrygnął się.

Jessie miała rację, wspomnienia to coś o wiele więcej niż jakaś wyblakła fotografia czy porcelanowe talerze.

Starając się nie hałasować, otworzył drzwi sypialni. Jessie, odwrócona do niego tyłem, nie zauważyła go.

Trzymając Bertiego w ramionach i szepcząc mu coś uspokajająco do ucha, krażyła po pokoju.

- Dobrze, już dobrze, Jessie jest przy tobie. Nie chciałbyś przecież obudzić Patricka, mam rację? - odezwała się, odwracając w tym samym momencie głowę. - Och!

- Mogę? - Wyciągnął ramiona w kierunku Bertiego.

- Oczywiście, ale...

- Zdrzemnąłem się trochę. Czuję się o wiele lepiej - przekonywał łagodnie.

- Może wolisz zostać tutaj? Wezmę Bertiego na dół...

Przez chwilę walczył z pokusą, by nie wskoczyć do łóżka, nagrzanego jeszcze ciepłem jej ciała.

- Wyglądasz na wykończoną, Jessie - odezwał się.

- Wracaj do łóżka.

Wyjął Bertiego z jej rąk i przytulił do siebie. Płacz ucichł.

- Możesz być spokojna, damy sobie radę.

Widział, jak walczyła chwilę z sobą, po czym w końcu dała za wygraną.

Wtuliła się z powrotem w ciepłą, jeszcze pościel, przeciągając się słodko.

Widząc to, Patrick uśmiechnął się do małej istotki, którą trzymał w ramionach. Pocałował delikatnie miękkie loczki.

Zszedł po schodach i, z Bertiem w ramionach, ułożył się na sofie. Nie minęła chwila, a obaj zapadli w głęboki, zdrowy sen.

Za oknami było już zupełnie widno, kiedy Jessie, wyspana i wypoczęta, otworzyła powieki. Po chwili przypomniała sobie wydarzenia ostatniej nocy, zerwała się z łóżka i w panice zbiegła na dół.

Jak się okazało, nie było powodu do obaw. Widok, który ukazał się jej oczom, nie tylko zupełnie ją uspokoił, ale i niezmiernie rozczulił.

Na całej długości sofy, rozciągnięty wygodnie spał Patrick, a wraz z nim, słodko przytulony do jego brzucha, Bertie.

Chłopczyk musiał usłyszeć kroki, bo podniósł nagle główkę. Widząc ciotkę, uśmiechnął się promiennie.

Jessie przyłożyła palec do ust i powoli wyjęła chłopca z objęć Patricka.

Starając się zachowywać jak najciszej, tak by nie obudzić śpiącego mężczyzny, zamknęła za sobą drzwi i poszła do kuchni.

Patrick przebudził się nagle z niejasnym, lecz dojmującym poczuciem straty.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, co go niepokoi.

Brakowało mu Bertiego.

Wstał szybko i poszedł do kuchni.

- Wszystko w porządku? - zapytał, widząc Jessie, nalewającą mleko do kubków. - Dlaczego mnie nie obudziłaś?

- Wystarczy już, że wyrwaliśmy cię ze snu dokładnie w środku nocy.

- Daj spokój...

- I muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Nieżle sobie poradziłeś.

- Wiesz, jak to jest, między nami, mężczyznami...  
- uśmiechnął się. - Bertie to świetny chłopak. Dzisiaj jednak będziesz musiała radzić sobie sama. Mam coś do załatwienia na mieście.

- Ach, tak... Zjesz coś przed wyjściem?

Pokusa, by kiwnąć twierdząco głową, usiąść przy stole i rozkoszować się namiastką prawdziwego domu, była silniejsza, niż mógłby oczekiwać.

- Nie, dziękuję - powiedział wbrew sobie. - Zjem coś po drodze.

- A... co zamierzasz zrobić z Gradym?

- O to się nie martw. Zabieram go ze sobą.

Zanim zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, z holu dobiegł ją odgłos zamykanych drzwi.

- Ja również życzę ci miłego dnia - mruknęła.

- Panna Hayes? - Portier w Taplow Towers sprawiał wrażenie człowieka, któremu się spieszy. - Wyprowadziła się kilka dni temu. Miła osoba. Szkoda, że już tu nie mieszka.

- Czy wie pan, z jakiego powodu?

- Dziecko - odparł krótko. - Takie tutaj obowiązują zasady. Żadnych dzieci, żadnych zwierząt. Czy szuka pan mieszkania?

- Prawdę mówiąc, szukam ojca dziecka. Nie wie pan, gdzie mogę go znaleźć? - Mówiąc to, Patrick znacząco uchylił portfel.

Portier dyskretnie nadstawił dłoń.

- *On* i jego żona wyjechali - wyszeptał konspiracyjnie. - Przynajmniej tak słyszałem.

On i jego żona? - jęknął w duchu Patrick. Zatem ojciec Bertiego musi być jeszcze większym draniem, niż sądziłem!

Skinieniem głowy podziękował portierowi i wyszedł na zewnątrz.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Jessie włączyła komputer i zasiadła przed monitorem, otwierając plik, nad którym ostatnio pracowała. Myślami była zupełnie gdzie indziej

Informacja. Oto, czego potrzebowała. Wystarczyło jedynie wystukać kilka słów, by dotrzeć do interesujących ją informacji.

Dzieliła dom z człowiekiem, o którym nie wiedziała nic, zupełnie nic. Co za brak odpowiedzialności, wręcz karygodna lekkomyślność. Pomijając już wszystko inne, była przecież odpowiedzialna za Bertiego!

Poza tym... pocałował ją. A ona pocałowała jego.

Głupia, skarciła w myślach samą siebie. Patrick Dalton całował pewnie tysiące kobiet. Setki tysięcy. I to bez przerwy. Głupia!

Uniosła wzrok, kątem oka dostrzegając jakiś ruch.

W drzwiach pokoju stał nie kto inny, jak obiekt jej intensywnych rozmyślań.

- Od dawna mi się przyglądasz? - zapytała, czując, jak na jej twarzy wykwitają rumieńce.

Odsunął się od framugi drzwi i podszedł bliżej.

- Minutę, może nawet krócej - powiedział z uśmiechem. - Zawsze jesteś tak skoncentrowana, gdy nad czymś pracujesz?

- Owszem - potwierdziła. - A ty nie? Sądziłam, że dzisiaj idziesz do biura?

- Tak zamierzałem, ale przypomniałem sobie, że muszę przecież uporządkować rupieciarnię.

- Przyznaj się, miałeś nadzieję, że ja i Bertie znikniemy stąd, zanim będziesz się musiał do tego zabrać?  
- uśmiechnęła się.

- Zadziwię cię. - Nie odpowiedział na jej uśmiech.

- Kupiłem dodatkowe łóżko. Chciałbym uprzątnąć rupieciarnię, jeszcze zanim je przywiozą.

Pochylił się, zaglądając jej przez ramię.

- To twój pomysł? - zapytał, dłonią wskazując ekran monitora.

Jessie odwróciła wzrok w kierunku, który wskazał.

- Tak - potwierdziła. - Projekt strony dla pewnej kwiaciarni w centrum miasta.

- Można z tego wyżyć?

- Ze sprzedaży kwiatów?

- Z projektowania stron.

- Wynajmij mnie, a sam się przekonasz.

- To kara za moje wścibstwo? - roześmiał się. - Zamierzasz pracować przez cały dzień?

- Dlaczego pytasz? Potrzebujesz dodatkowej pary rąk do pomocy?

- Nie - odparł ze spokojem. - Pomyślałem sobie, że moglibyśmy wybrać się gdzieś z Bertiem, jak już uporam się z rupieciarnią. Co powiedziałałabyś na krótki spacer? Moglibyśmy też zjeść coś po drodze.

- Zjeść po drodze? - powtórzyła, jakby nie rozumiejąc, o czym mówił.

- Zgadza się. Musisz chyba coś jadać. Czasami - zartował. - Nie miałem na myśli nic szczególnego. Jakieś kanapki w parku...

Chciał, by zabrzmiało to niewinnie i swobodnie. Jessie wiedziała jednak, że „kanapki w parku” mogłyby być początkiem czegoś znacznie poważniejszego...

- Obawiam się, że będziemy musieli zadowolić się spacerem po ogródku i lunchem na ławeczce przed domem - odpowiedziała szybko, by nie ulec pokusie. - Mam dzisiaj naprawdę dużo pracy.

- Praca to nie wszystko, Jessie - powiedział poważnie. - Poza tym sprawiasz wrażenie osoby, która już dawno nie miała wolnego. Ale na początek zgadzam się na ogród. I to ja przyszykuję lunch.

Nie czekając na jej odpowiedź, zabrał się do pracy. W starych dżinsach i rozciągniętym podkoszulku wydawał się być o wiele młodszy, niż był w istocie. Jessie przyglądała mu się chwilę spod oka.

Jakby wyczuwając na sobie, jej spojrzenie, uniósł do góry wzrok i uśmiechnął się promiennie.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

Patrick pracował szybko, cicho i w skupieniu, wyciągając z pomieszczenia kolejne stare pudła. Zauważyła, że nie zajął do żadnego z nich.

- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytała nieśmiało.

- Wielkie dzięki. Prawie skończyłem - odparł. Po chwili, jakby wyczuwając pytanie, które miała ochotę zadać, przyznał: - Powiniennem był zająć się tym już dawno temu.

- Co zamierzasz zrobić z tym wszystkim?

- Może oddam jakiejś organizacji dobroczynnej? - odpowiedział, jakby zastanawiając się na głos. - Bella zawsze postępowała tak z rzeczami, które były nam już niepotrzebne. Myślę, że... Wydaje mi się, że byłaby zadowolona z takiego załatwienia sprawy.

- Jestem pewna, że tak - potwierdziła Jessie, rozglądając się bezradnie wokół. Jej wzrok zatrzymał się na odkurzaczu stojącym w rogu. - Może w takim razie mogłabym chociaż odkurzyć?

- Chyba zapominasz, ile zapłaciłaś za wynajęcie tego mieszkania!

- Zawsze możesz mi trochę opuścić. Zapewniam cię, że nie będę protestować,

- Pomyślę o tym - uśmiechnął się. - A póki co, czekajmy na panią Jacobs.

- Pani Jacobs?

- Kobieta, która sprząta tu dwa razy w tygodniu. Jest na urlopie.

- Poważnie? Carenza nic mi o niej nie wspominała.

- Carenza jest pewnie przekonana, że dom sprzątają krasnoludki, podczas gdy ona smacznie śpi. —Na wspomnienie siostrzenicy Patrick uśmiechnął się ironicznie. - Jednak ten pokój był nie sprzątany od lat.

- Dlaczego?

Za późno. Pytanie złowroźnie rozbrzmiało w przestrzeni pustego pokoju.

Dlaczego? - Patrick powtórzył w duchu. Dlaczego, któż to wie? Tysiące razy zadawał sobie to pytanie. Dlaczego Bella? Dlaczego Mary Louise? Dlaczego nie on?

Nie potrafił odnaleźć odpowiedzi.

Nie odnalazł również w sobie dość siły na to, by wyjaśnić Jessie, do kogo należał ten pokój.

- Nie potrafił, bo jakimi słowami miał opowiedzieć jej o Mary Louise, jego ślicznej, maleńkiej córeczce, której słodkie gaworzenie potrafiłyby rozpoznać nawet na końcu świata? Jak miał opowiedzieć Jessie, że ilekroć przestępuje próg tego pokoju, ma przed oczami Belle, pochyloną troskliwie nad łóżeczkiem ich córeczki? Że...

- Nie było takiej potrzeby - odezwał się wymijająco.

- Mam nadzieję, że będzie wam tu dobrze.

- Patrick...

Spojrzał na nią pytająco.

- Mogę wiedzieć, skąd ta zmiana? - zapytała, nie spuszczać wzroku z jego oczu, jakby starając się wyczytać z nich odpowiedź. - Jeszcze wczoraj chciałeś posłać mnie i Berliego najbliższym lotem na księżyc, a teraz oferujesz nam pokój? Gdzie tkwi pułapka?

- Nic ma żadnej pułapki - odpowiedział. - Po prostu potrzebujecie mieszkania. A ten dom ma więcej pokoi, niż mógłbym kiedykolwiek potrzebować, to wszystko.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Wezmę Bertiego ze sobą na dół i przygotujemy lunch, co ty na to? Powiedzmy... za jakieś piętnaście minut?

- Świetny pomysł - odpowiedziała. - W tym czasie postaram się uporać z odkurzaczem.

Odkurzenie pokoju nie zajęło jej więcej niż pięć minut, Jessie schowała sprzęt do schowka, potem sięgnęła po telefon. Przy odrobinie szczęścia złapie wreszcie Kevinę lub bratową w domu.

Niestety, jej nadzieje okazały się płonne.

- Cześć, Kevin! Cześć, Faye! - odezwała się, słysząc sygnał automatycznej sekretarki. - Czy istnieje jakakolwiek szansa na to, żebyście się wreszcie obudzili?! Czy losy waszego dziecka interesują was choć odrobinę, czy już całkiem o nim zapomnieliście? A przy okazji, zmieniłam adres.

Jessie podała nazwę ulicy i numer domu.

- Dostaniecie mój rachunek za czynsz pod koniec miesiąca - dokończyła. - Wasz syn czuje się świetnie. Niemniej jednak, może nadeszła już pora, byście ponownie pojawili się w jego życiu, co wy. na to? Ja też przecież, do diabła, mam swoje własne!

- Własne życie?! Tak powiedziała?

- Z całą pewnością jej głos brzmiał jakoś inaczej.

- Bardziej jak stara Jessie.

- Masz na myśli tę przed Bertiem?

- Tę przed Tonym - wyjaśnił żonie Kevin. - Faye, muszę przyznać, że miałaś wspaniały pomysł.

- Chyba równie zbawienny dla Jessie, jak dla nas samych, prawda?

- Ale wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć.

- Masz rację, pora wracać. - Faye westchnęła ciężko.

- Co ty robisz?

Patrick uniósł wzrok.

- Karmię Bertiego - odpowiedział. - Kaszka na mleku, zgadza się?

- Tak, ale... Skąd wiedziałeś?

- Zostawiłaś przepis przy opakowaniu. Albo jesteś perfekcjonistką, albo masz wyjątkowo dziurawą pamięć. Popraw mnie, jeśli się mylę.

Bertie otworzył buzię, dopominając się kolejnej porcji. Żadnego marudzenia, żadnych krzyków. Jessie musiała przyznać, że była pod wrażeniem.

- No, no, no! - wykrzyknęła. - Widzę, że jeśli chodzi o dzieci, to jesteś prawdziwym ekspertem.

- Po prostu potrafię przeczytać kilka punktów prostego przepisu, to wszystko - uśmiechnął się. - Siadaj z nami i poczęstuj się kanapką. I odpręż się wreszcie!

Patrick siedział na kocu rozłożonym na trawie. Tuż obok beztrudnie baraszkował sobie Bertie. Grady, odsunięty głębiej w cień, nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

- Yhm... - wymruczała, zatapiając zęby w bułce. - Ależ to dobre!

- W jakim wieku jest Bertie?

- Uhm, pół roku... Możesz dodać lub odjąć kilka dni.

Patrick roześmiał się, traktując jej ostatnią uwagę jak udany żart.

-- Byłem w Taplow Towers - odezwał się nieoczekiwanie. - Rozmawiałem z portierem.

Przez chwilę Jessie miała wrażenie, że się przesłyszała.

- Co robisz?! - wykrzyknęła, gdy ponownie odzyskała dech w piersiach. - Śledziłeś mnie?!

-- Nie było to moim zamiarem. - Mówiąc to, chwycił jej dłoń w swoje ręce. Wsunęła ją pospiesznie. - Naprawdę, Jessie. Chciałem się czegoś dowiedzieć, to wszystko. Miałem nadzieję, że uda mi się porozmawiać

z ojcem Bertiego. Potrzebujesz przecież pieniędzy, skoro zamierzasz kupić dom...

Ach, więc o to chodziło? Już nie mógł się doczekać, kiedy ona i Bertie znikną z jego życia. Co za hipokryzja!

- W takim razie przykro mi, że straciłeś ranek.

- Ja tak nie uważam - zaprzeczył. - Sporo się dowiedziałem.

- Jeśli byłeś ciekaw, wystarczyło zapytać mnie - odezwała się ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Teraz to nie ma już znaczenia - odpowiedział najłagodniej, jak potrafił. - Tak jak mówiłem, ty i Bertie możecie zostać tu tak długo, jak chcecie.

- Umowa stanowi, że trzy miesiące.

- Jeśli o mnie chodzi, możemy to renegocjować. - Uśmiechnął się, unosząc brwi. - Nie tak łatwo znaleźć odpowiedni dom.

Jessie spojrzała na niego niepewnie.

Dlaczego nie był zły? Jeśli portier go nie oszukał, to Patrick musiał już wiedzieć, że Bertie nie jest jej dzieckiem. Dlaczego nie reagował na tę nowinę?

- Nie jesteś na mnie zły? - Pytanie z ledwością przeszło jej przez gardło.

- Zły?! - zdziwił się. - A dlaczegóż miałbym być na ciebie zły?!

- Że nie wyjawiałam ci całej prawdy...

- Za kogo ty mnie masz? - Wydawał się szczerze oburzony. - A swoją drogą, niezły numerek z tego twojego Tony'ego.

Jessie poczuła, jak jej policzki płoną.

Patrick musiał wiedzieć o wiele więcej, niż począt-



kowo sądziła. Portier poinformował go nie tylko o tym, że nie była matka Bertiego, ale również o szczegółach jej związku z Tonym.

Świetnie, pomyślała zła.

- Przepraszam - wyjąkała, unikając jego spojrzenia.  
- Wezmę Bertiego i pójdę, z nim na górę, dobrze?

- Dlaczego to robisz? - Patrick wstał, by przytrzymać jej ramię. - Przestań, proszę. Skończ przynajmniej swój lunch.

- Nie widzę sensu. - Wysunęła się z jego uścisku. - I może lepiej by było, gdyby nasze stosunki ponownie stały się nieco bardziej oficjalne? Co powiesz na pannę Hayes i pana Daltona?

- Jessie, zrozum, próbowałem tylko pomóc.

- Jasne - potwierdziła kpiąco. - Szkoda tylko, że przy okazji udało ci się zranić moje uczucia.

- Jessie...

- Jak mogłam być aż tak głupia? Przecież tobie nadal chodzi tylko o jedno!.

- O co?

- Żeby wreszcie wyniosła się z twojego domu i - Jessie czuła, że jeszcze chwila, a łzy, jedna za drugą, poleją się po jej twarzy jak rwący górski potok. Odwróciła głowę, by Patrick tego nie zauważył i ruszyła szybko w stronę domu.

Zauważając jej nagły ruch, Grady uniósł łeb i natychmiast wstał.

- Leżeć! - wykrzyknęła, sama nie wiedząc, skąd w jej głosie tyle determinacji. Pies położył się posłusznie i zamerdał ogonem.

- Panno Hayes! - usłyszała za plecami głos Patricka.
- Czy rzeczywiście zamierza się pani stąd wynieść?

Obróciła się gwałtownie w jego kierunku.

- Bo jeśli tak, to nie musiałbym odbierać tego nowego łóżka...

- Ani się waż! - wykrzyknęła, a po chwili, już spokojnie, dodała: - Jeśli pan to zrobi, panie Dalton, obiecuję, że każdą następną noc spędzi pan w salonie na sofie!

- Tak jest! - potwierdził, z ledwością powstrzymując się od śmiechu. - Co tylko pani rozkaże.

Jessie, nie oglądając się więcej za siebie i nie czekając na dalszy rozwój sytuacji, z Bertiem w jednej ręce i butelką kaszki w drugiej, uciekła.

Gdy samochód dostawczy z salonu meblowego w centrum miasta zajechał pod dom, Jessie zajęta była akurat pracą.

Nie zwracała najmniejszej uwagi na powstałe zamieszanie. Nie zaoferowała pomocy, nie zerknęła nawet w kierunku porozstawianych na podłodze w holu pudeł. Postanowiła być twarda.

- Skończyliśmy, Jessie - Patrick zawołał w jej kierunku, stając w drzwiach gabinetu. - Chcesz sprawdzić, jak to wygląda?

- Nie ma potrzeby.
- Może materac okaże się za twardy?
- Lubię twarde materace.
- Chciałem tylko powiedzieć, że jeszcze jest czas, by zmienić to, co okaże się nieodpowiednie.

Jessie wstała od stolika z komputerem, ostentacyjnie odsuwając klawiaturę.

- Zgoda - odparła krótko. - Zobaczmy więc.

Pozwoliła, by ją poprowadził.

Po chwili stanęła jak wryta.

Pokój zmienił się nie do poznania. Nowe było dosłownie wszystko. Nie tylko łóżko, ale i szafa, komoda, dywan, a nawet zasłony w oknach.

Ekipa, która dostarczyła meble, czekała w pogotowiu.

- Patrick... - wyjąkała Jessie.

- To znaczy, że się podoba - skwitował jej reakcję jeden z mężczyzn.

- Wolałbym jednak usłyszeć to z ust pani - Patrick uśmiechnął się do niej.

- Jest po prostu cudownie! - zawołała, kładąc się na brzegu łóżka i zakładając ramiona pod głowę.

- Cieszę się. - Patrick przysiadł po drugiej stronie łóżka, po czym po chwili rozciągnął się wygodnie na całej jego długości. Serce Jessie podskoczyło gwałtownie do góry i stanęło na wysokości przełyku. - Bierzemy je - zdecydował.

Mężczyźni, jakby tylko na to czekając, zaczęli opuszczać pokój jeden za drugim.

Żadne z nich nie poruszyło się. Żadne nie drgnęło nawet, gdy drzwi na dole zamknęły się z lekkim, ledwo słyszalnym trzaskiem.

Zapadła cisza. Jedyne dźwięk, jaki docierał do uszu Jessie, to tętnienie jej własnego pulsu w skroniach. Była pewna, że rytmiczne dudnienie słychać w promieniu co najmniej kilkudziesięciu metrów.

- Nie rozumiem, Patrick, po co to wszystko - odezwała się w końcu, jakby nie mogąc już dłużej wytrzymać napięcia. - Przecież potrzebowałam jedynie łóżka.

- I naprawdę zamierzałaś trzymać swoje rzeczy w walizce?

- Cóż...

- Powinnaś dobrze się tu czuć. Bez względu na to, jak długo zostaniesz.

Jak kiedykolwiek mogło jej przyjść do głowy, że Tony był przystojny? W porównaniu z mężczyzną leżącym po jej prawej ręce był co najwyżej znośny.

A i to tylko wtedy, kiedy miał dobry dzień.

Jessie kurczowo zacisnęła dłonie na narzucie okrywającej łóżko, siłą powstrzymując się, by opuszkami palców nie dotknąć łagodnej linii ust Patricka. Tych samych, których smak rozpoznałaby choćby na końcu świata.

- Wiesz, że to nie jest najlepszy sposób na pozbycie się mnie z twego domu?

- Nie? - Udał zdziwienie. - A może ja po prostu nie mam zamiaru się ciebie pozbywać? Może już przyzwyczałem się do tego, że zawsze jesteś gdzieś w pobliżu? Na wyciągnięcie ręki...

- Uważaj - zaczęła. - Nie ma we mnie nic z typowej gospodyni domowej. Nie umiem gotować.

- Nawet owsianki? - kontynuował pół żartem, pół serio.

- Szczególnie owsianki - wymruczała.

- Więc jak go poznałaś? - zapytał nieoczekiwanie.

- Zapukał pewnego dnia do moich drzwi - zaczęła, dziwiąc się, że mówienie o tym nie sprawia jej bólu. -

Chciał pożyczyć trochę cukru, zupełnie jak w jakiejś bzdurnej komedii romantycznej.

Zamyśliła się na chwilę. Nie przeszkadzał jej.

- Zmyliła mnie jego niewinna mina i chłopięce spojrzenie niebieskich oczu. Niebieskich jak niezapominajki.

- Zawahała się na moment, po czym dodała: - Jestem pewna, że jedno i drugie trenował przed lustrem. Był w końcu aktorem.

- Mieszkał w twoim domu?

- Nie do końca - zawiesiła głos. - Pomieszkiwał u znajomego, który wynajmował pokój tuż nad moim. Spał na sofie. Niestety, nie potrafiłam wtedy właściwie odczytać wszystkich znaków.

- Rozumiem.

- To dobrze, bo ja wtedy nie rozumiałam - uśmiechnęła się smutno. - Wydawało mi się, że przeniesienie wszystkich jego rzeczy do mnie to świetny pomysł.

- Jak miło z twojej strony.

- I jakże nierozsądnie. Zniknął równie nagle, jak się pojawił, zabierając ze sobą parę drobiazgów i moje serce. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

- A jego znajomi?

- Miałam iść do nich na skargę? Zrobiłam z siebie idiotkę, to wszystko. A raczej pozwoliłam, żeby to on zrobił ją ze mnie. Byłam zdruzgotana, zraniona, kompletnie załamana. Obiecałam sobie wtedy nigdy nie ufać już żadnemu mężczyźnie.

- Ale...? - Przekreślił się nieznacznie, zwracając się w jej stronę. Jessie poczuła ciepło jego ciała.

- Ale? - powtórzyła za nim.

- Wydawało mi się, że było jakieś „ale”.
- Ale... Życie toczy się dalej i ma swoje prawa. Pozwalasz ponieść się fali, złe wspomnienia zacierają się powoli w twojej pamięci, robiąc miejsce kolejnym, tym lepszym.

Jej głos zadrżał, kiedy poczuła nagle na swym policzku dotyk ręki Patricka. Przejechał delikatnie kciukiem po jej wargach, po czym zanurzył palce we włosach, bawiąc się nimi.

- Zostań - poprosił cicho. - Słyszysz? Chciałbym, żebyś została.-

I ona pragnęła tego z całego serca. Na przekór złym wspomnieniom, solennym przyrzeczeniom, na przekór rozsądkowi.

Jednak nie była przecież aż tak słaba. Potrafiła kierować swoim życiem, nie poddając się chwilowym uniesieniom i ogromnej, wszechogarniającej potrzebie miłości. Nie tym razem.

- Patrick...

Pocałował ją, jakby chciał rozwiać jej wątpliwości.

- Patrick, nie...

Zanim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, wstał z łóżka. Znow była sama. T przeraźliwie samotna.

- Patrick... - Odwrócił głowę. - Dziękuję. Dziękuję za wszystko.

- Tak jak powiedziałem. Możesz zostać tu tak długo, jak zechcesz.

- Dzięki...

- A gdybym mógł w czymkolwiek ci pomóc, powiedz tylko słowo...

Mimo że jego ciało niemal błagało o jakikolwiek gest, dotknięcie, bodaj muśnięcie jej skóry czy choćby koniuszków włosów, on sam miał w sobie jeszcze dość siły, by poczekać. Poczekać na Jessie. Tak długo, jak tylko to będzie konieczne. Tak długo, aż będzie gotowa.

Scandalous

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Patrick ostrożnie przysiadł na łóżku w sypialni, starając się przy tym nie obudzić śpiącego Bertiego. Dziecko miało spokojny i mocny sen.

Patrick przymknął powieki. Wydawało się, że i on zasnął. Jedyne cierpkie, niemal bolesne skrzywienie ust sugerowało, że jest inaczej.

Bella, Mary Louise... Gdyby tylko, zamiast iść do pracy tamtego dnia, pojechał z nimi. Wtedy może nadal żyliby we troje, szczęśliwi i bezpieczni. Gdyby tylko...

Z holu dał się słyszeć odgłos dzwonka.

Przestań, nie rób tego, upominał w duchu samego siebie. Nie tego chciałyby dla ciebie Bella. I nie to jesteś winien Mary Louise. Zaczynj żyć!

Dzwonek odezwał się ponownie.

Nie wegetować, jak do tej pory. Żyć. Pełnią życia. I to zaczynając od zaraz.

Dzwonek u drzwi stawał się niestety coraz bardziej natarczywy.

Jessie otworzyła drzwi gabinetu dokładnie w chwili, kiedy Patrick przechodził obok.

- Och... - wyjąkała przestraszona, jak kobieta cze-



kająca na tajemniczego kochanka. - Usłyszałam dźwięk dzwonka. Nie byłam pewna, czy i ty słyszałeś.

- Spodziewasz się kogoś?

- Nnie... Po prostu...

Rozbrzmiała kolejna seria natarczywych dźwięków. Ktokolwiek stał po drugiej stronie drzwi, zaczynał się niecierpliwić.

- Idę! Już idei - wykrzyknął Patrick i ruszył w tym kierunku. - O co chodzi?

W progu stał młody, może trzydziestoletni mężczyzna. Wysoki, dobrze zbudowany i jakoś dziwnie znajomy.

Na widok Patricka, nieznajomy zrobił krok do tyłu.

- Och! - wykrzyknął.

- Więc? - odezwał się ponownie Patrick, tym razem już nieco bardziej napastliwie. - O co chodzi?

- Tak... Hm... Szukam Jessie.

- Jessie? - upewnił się zaskoczony Patrick.

- Tak, Jessie - powtórzył nieznajomy, najwyraźniej ponownie odzyskując pewność siebie. - Zostawiła nam wiadomość, że przeprowadziła się tutaj. Przejeżdżaliśmy właśnie w pobliżu... Jestem ojcem Bertiego. Moja żona czeka w samochodzie. Jak przepuszczam, Jessie może być na nas trochę zła...

Dłoń Patricka sama zacisnęła się w pięść. Niemał siłą powstrzymał się, by nie rozkwasić temu młodemu, pewnemu siebie przystojniakowi nosa.

- Trochę zła? - powtórzył powoli. - Sądzisz, że może być „trochę zła” po tym, co jej zrobiłeś? Co z ciebie, do diabła, za mężczyzna?!

Jego pytanie było czysto retoryczne. Nie spodziewał

się żadnej odpowiedzi. A już na pewno nie takiej, która mogłaby go uspokoić.

- Jessie mieszka teraz w moim domu... - wycedził przez zęby. - I nikt nie ma prawa mieszać się ponownie w jej życie, jeśli ona sobie tego nie życzy!

- Przepraszam, ale...

- Nie obchodzi mnie, co o tym myślisz! Chcę tylko, żebyś raz na zawsze zostawił ją w spokoju.

- Patrick! - Głos Jessie nieco go otrzeźwił. Powoli zamknął otwarte ze zdziwienia usta. - Patrick! Co ty. do diabła, wyprawiasz? Wpuść go do środka.

Jeden rzut oka na jej twarz wystarczył, by Patrick zrozumiał, jaka jest prawda.

Jessie mogła przekonywać samą siebie, oszukiwać cały świat, że Tony nic już dla niej nie znaczy. On sam niemal jej uwierzył!

Jedno jednak było pewne: niezależnie od tego, jak wielką krzywdę uczynił jej ten człowiek, kochała go.

- Jak widzę, zrobiłem z siebie idiotę - skomentował gorzko. - Proszę.

Zrobił krok do tyłu, wpuszczając tym samym mężczynę do środka.

- Ale uprzedzam, parom nie wynajmuję - dokończył zgrzyliwie.

- Co takiego?!

- Nie oszukujmy się, Jessie. - Odwrócił się w jej kierunku. - Jeśli z taką radością witasz tego człowieka, może to oznaczać tylko jedno.

- Oczywiście, że witam go z radością - potwierdziła, zupełnie nie zbita z tropu. - Przez ostatni tydzień wy-

dzwoniałam do niego niemal bez przerwy. To ojciec Bertiego. Zabierze chłopca do domu.

Patrick, najwyraźniej nie rozumiejąc już kompletnie niczego, wycofał się w kierunku kuchni.

- Czy Faye jest z tobą? - Jessie zwróciła się do brata.

- Tak - odpowiedział Kevin przez zaciśnięte nadal gardło. - Szuka miejsca do zaparkowania. Kim jest ten dzikus?

- Ten dzikus to Patrick Dalton - wyjaśniła. - Zamieszkałam z nim, kiedy wyrzucili mnie z Taplow Towers.

Zamieszkałam z nim, powtórzyła w duchu, sama się sobie dziwiąc. Nie do końca była to prawda, ale wyjaśnienia mogły poczekać.

- Patrick - wykrzyknęła w jego kierunku. Odwrócił się do nich z niechęcią. - Pozwól, że ci przedstawię. To jest Kevin. Kevin... mój brat.

- Twój... brat? - Patrick wyglądał jak ktoś, komu nagle ziemia usunęła się spod stóp. Albo wręcz przeciwnie, jak ktoś, kto nagle znowu poczuł pod stopami grunt. - Mówiłaś przecież, że jest ojcem Bertiego...

- Tak... Sądziłam, że portier ci wyjaśnił...

- Powiedział, że musiałaś opuścić Taplow Towers, kiedy pojawiło się dziecko. T że jego ojciec wyjechał gdzieś ze swą żoną.

- Zgadza się - zapewniła Jessie. - A właśnie, Kevin, idź po żonę.

- Kie jestem pewien, czy będzie tu bezpieczna. - Mówiąc to, Kevin spojrzał wymownie w kierunku Patricka.

- Nie żartuj - upomniała go siostra łagodnie. - To, co się stało, to wynik małego nieporozumienia.

- Jasne! - niespodziewanie odezwał się Patrick. - Idź po żonę, czujcie się wszyscy jak u siebie. Ale co do herbatki, to nie ma nawet mowy. To, czego teraz mi trzeba, to porządny drink!

W tym samym momencie ktoś zapukał do drzwi. Jessie pobiegła otworzyć.

- Faye! - wykrzyknęła na widok młodej kobiety. - Wyglądasz cudownie! Widzę, że nie marnowaliście z Kevinem czasu!

- Więc nie jesteś zła?

- Zła? Jakby to powiedzieć... - Jessie zawahała się. - Powiedzmy, że już nie. Wolałabym co prawda, żebyście mnie zapytali o zdanie. Uniknęlibyśmy wtedy tego całego zamieszania z przeprowadzką, a ja prawdopodobnie nadal mieszkałabym w Taplow Towers...

Kevin i jego żona chrząknęli znacząco.

- Ach, więc to tak! - wykrzyknęła Jessie, jakby odkrywając kolejną intrygującą zagadkę. - Teraz rozumiem. Jak przypuszczam, to właśnie było waszym głównym celem, mam rację?

- Musieliśmy to dla ciebie zrobić, Jessie - odezwała się Faye przepraszająco. - Inaczej sama byś się tam żywcem pogrzebała. Tutaj jest zupełnie inaczej...

Mówiąc to, Faye z nie skrywaną ciekawością rozejrzała się dookoła.

- Owszem - potwierdziła Jessie z rezerwą. - Czynyś też jest zupełnie inny, ale o tym później. Ale, ale... jak się domyślam, nie możecie się już doczekać, żeby zobaczyć Bertiego?

- Jessie. - Głos Patricka zatrzymał ją w pół drogi.

- Nie sądzisz, że należy mi się bodaj odrobina wyjaśnienia? Choćby słówko?

Jessie, nie wypuszczając ramienia szwagierki z uścisku, odkręciła się w stronę brata.

- Co ty na to, Kevin? - uśmiechnęła się do niego triumfalnie. - Może zostaniesz i wyjaśnisz Patrickowi parę szczegółów? Na przykład, jak i dlaczego właściwie się tu znalazłam? Ja tymczasem pokażę Faye pierwszy ząbek Bertiego. Co ty na to, braciszku?

- Mam wrażenie, że jedynymi, którzy muszą tu jeszcze cokolwiek sobie wyjaśnić, jesteście wy dwoje.

- Mówiąc to, Kevin spojrzął znacząco na zarumienioną Jessie i wściekłego Patricka.

- Jestem tego samego zdania. - Faye wysunęła ramię z objęć Jessiki. - O nas się nie martwcie. Znajdziemy sobie jakieś zajęcie. Co powiecie na filiżankę herbaty?

- Tym razem stoję po stronie Patricka. - Jessie uśmiechnęła się nieznacznie i zwracając się do niego, dodała: - Jeśli o mnie chodzi, nadszedł właśnie odpowiedni moment na twoją sławetną brandy. Tę samą, którą tak obficie mnie poiłeś przy lada okazji. Znajdziecie Bertiego w pokoju na górze. O tej porze powinien jeszcze spać.

Zdaje się, że Kevin i jego żona nie mogli usłyszeć niczego, co by ich bardziej ucieszyło. Oboje zgodnie obrócili się i nie zwlekając ani minuty dłużej, wbiegli na schody.

- Czujcie się, jak u siebie - zdążył dorzucić jeszcze Patrick, zanim na dobre znikli z pola widzenia.

Gdy zostali już z Jessie sami, podszedł do drzwi wejściowych, zamknął je i oparł się o futrynę.

- Brandy? - zapytała Jessie, by zyskać na czasie. Daremny trud.
- Więc Bertie nie jest twoim dzieckiem? Czy dobrze rozumiem?
- Sądziłam, że portier z Taplow Towers...
- A Tony nie jest jego ojcem? - przerwał jej.
- Nie.
- W takim razie mam jeszcze jedno pytanie.
- Tylko jedno? - próbowała zażartować.
- W co ty, do diabła, grasz?!
- Zamierzałam ci to wyjaśnić... - zaczęła, nie wiadomo czemu uparcie wpatrując się w czubki własnych butów.
- Ale?
- Chciałam powiedzieć ci o tym już pierwszego ranka, wierz mi.
- Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?
- Ponieważ oznajmiłaś, że gdybym nie była samotną matką z małym dzieckiem, już dawno wyrzuciłbyś mnie za próg.
- Patrick przejechał dłonią po włosach, jakby nadal nie wiedział, czy to jawa, czy tylko koszmar senny.
- Nie ma Bertiego. Nie ma żadnego innego dziecka. Jest tylko Jessie.
- Powinnaś była mieć do mnie choć odrobinę więcej zaufania - wyszeptał. - Powinnaś była mi powiedzieć prawdę.
- Wiem - potwierdziła. - I zamierzałam. Ale palem poszedłes do Taplow Towers. Sądziłam, że portier wyjaśnił ci wszystko.

- Byłem przekonany, że jesteś samotną, porzuconą przez faceta kobietą...

- Nie, to Bertie został porzucony - zażartowała. - Przez Kevina i Faye. Pod moimi drzwiami. Z krótką informacją, że oboje desperacko potrzebują snu.

- Jeśli o to chodzi, to chyba im się udało? - Patrick roześmiał się, już prawie szczerze i swobodnie. - Ale z tego, co zrozumiałem, cała ta historia miała jakieś drugie dno?

- Zgadza się - potwierdziła Jessie. - Zrobili to przede wszystkim po to, by mi pomóc.

- Pomóc?

- Tak. W Taplow Towers czułam się bezpiecznie. Nic nie mogło mi tam zagrozić. Nikt nie mógł zapukać do moich drzwi, by złamać mi serce.

- To właśnie ci zrobił? Złamał serce? - W głosie Patricka słychać było współczucie.

- Tak mi się przynajmniej kiedyś wydawało. Wtedy właśnie postanowiłam: żadnych związków, żadnego więcej bólu.

Podszedł do niej, chwytając jej drobne dłonie w swoje mocne ręce.

- Jessie...

W tym samym momencie w drzwiach salonu pojawiła się twarz Faye.

- Przykro mi, że wam przeszkadzam - uśmiechnęła się na ich widok. - Bertie chce pić, a całą kuchnię tarasuje jakiś olbrzymie zwierzę i...

- Oczywiście. - Patrick zrobił krok w jej kierunku.

- Już idę.

- Nie, pozwól, że ja to zrobię - nieoczekiwanie prze-  
rwała mu Jessie.

- Jesteś pewna? - zapytał, nie ukrywając zdziwienia.

- Najzupełniej. Ty zostań tutaj i zamień słówko  
z moim bratem - odpowiedziała mu z uśmiechem. - Po-  
za tym, jeśli mam zostać, Grady i ja musimy się lepiej  
poznać. Chodź, Faye!

- Ależ Jessie... -- Jej szwagierka nie wyglądała na  
przekonaną.

- Nie bój się. Grady jest łagodny jak baranek - za-  
pewniła ją Jessie.

Jedynie Patrick mógł wiedzieć, że tymi słowami Jessie  
próbuje uspokoić przede wszystkim samą siebie. Na jego  
twarzy nie drgnął jednak ani jeden mięsień.

Jessie ruszyła przed siebie. Tuż za nią, ociągając się  
odrobinę, dreptała Faye.

Kevin wyglądał, jakby zamierzał podążyć za nimi. Pa-  
trick powstrzymał go ruchem ręki.

- Moja siostra śmiertelnie boi się psów - Kevin ode-  
zwał się wyjaśniająco.

- Wiem o tym - potwierdził Patrick. - Ale zdaje mi  
się, że właśnie próbuje to zwalczyć. Może pozwolimy  
jej działać?

Obaj odwrócili głowy w kierunku, w którym zniknęła  
Jessie.

Z kuchni dał się słyszeć nagle jej zdecydowany, choć  
łagodny głos.

- Grady, siad! - padł rozkaz.

Obaj mężczyźni, jak na komendę, wysunęli głowy zza  
framugi.



Dokładnie w momencie, kiedy wielkie jak niedźwiedź psisko posłusznie siadało na zadnich łapach.

- Dobry pies - pochwaliła go Jessie, ośmielona swoim sukcesem.

Mężczyźni spojrzeli na siebie nawzajem. W oczach obu kryła się dziwna mieszanina ulgi i zadowolenia.

- Zostaniecie na kolacji? - zapytał Patrick. - Lodówka jest co prawda prawie pusta, ale serdecznie zapraszam.

- Dzięki - odpowiedział mu Kevin. - Z przyjemnością zostaniemy.

- Przepraszam, powinnam była ci od razu powiedzieć  
- Jessie odezwała się półgłosem.

Wraz z Patrickiem zajęta była właśnie nakładaniem na talerze steków, podczas gdy Kevin i Faye bawili się z dzieckiem, niemal wrywając go sobie nawzajem z rąk.

- Sądziłam po prostu, że gdybyś dowiedział się prawdy, nie zgodziłbyś się, żebym tu zamieszkała - dokończyła. - Co najlepiej obrazuje, jak niewiele wówczas o tobie wiedziałam.

- Prawdę mówiąc, masz trochę racji. Taka właśnie była moja pierwsza myśl.

- A dlaczego zmieniłeś zdanie?

Z powodu pocałunku. Jednego pocałunku.

- Możemy się na coś przydać? - Faye pojawiła się w drzwiach kuchni, prowadząc za sobą Kevina dumnie trzymającego Bertiego. - Ooo, jaki wspaniały kot!

Mao, jakby świadom tego, że o nim mowa, przeciągnął się demonstracyjnie.

- Lubisz koty? - zapytał Patrick.
  - Uwielbiam! - Faye pochyliła się, by pogłaskać Mao. - Niestety...
  - Bertie również za nim szaleje - wtrąciła błyskawicznie Jessie, zanim jej szwagierka zdążyła dokończyć. I spoglądając ukradkiem na Patricka, uśmiechnęła się do niego znacząco. Mogła być pewna, że właściwie zrozumiał jej intencje.
  - Jeśli Bertie za nim szaleje... - mruknał.
  - Ale... - zamierzał właśnie coś wtrącić Kevin. Niestety, antypatia do kotów była problemem rodzinnym.
  - Nalegam - przerwał mu Patrick. - Robię to tylko dla Bertiego.
  - Dziękuję. - Brat Jessie głośno przełknął ślinę. - Przynajmniej do czasu, kiedy nie zaproponujesz mi również psa. Od razu zapewniam cię, że odmówię.
  - O to się nie martw - odezwała się Jessie, - Grady tu mieszka. Mao jest tu tylko tymczasowo. Jego właścicielka wraca pod koniec sierpnia. Co wy na to, żebyśmy zjedli w ogrodzie?
- Patrick zamknął drzwi za gośćmi.
- Więc... Jesteśmy teraz tylko we troje: ty, ja i Grady.
  - Zgadza się - potwierdziła krótko. - Prawdę mówiąc, jestem bardzo zmęczona. Jeśli nie masz nic przeciwko, pójdę do swojego pokoju.
  - A jeśli będziesz potrzebowała czegoś w nocy? Jeśli nagle zachce ci się pić? Co z Gradem?
  - O to się nie martw. Wydaje mi się, że dam sobie z nim radę.

- W takim razie, jak sobie życzysz.
- Dobranoc, Patrick.
- Dobranoc, Jessie.

Patrick położył się na łóżku, przymykając powieki. Czuł się jak rozbitek na bezkresnych wodach oceanu. Z tą tylko różnicą, że dokładnie wiedział, dokąd zmierza jego tratwa.

To było więcej niż pewne. Zakochał się. Tak jak przed laty w Belli.

Do wczoraj jeszcze, ba, do dzisiejszego popołudnia nie wiedział, co się z nim dzieje. Tak było, zanim okazało się, że istnieje tylko Jessie. Nie Jessie i jej dziecko. Po prostu Jessie.

Wiedział, że musi dać jej czas. Jak dotąd, wszelkie jej miłosne doświadczenia kończyły się łzami. Potrzebowała czasu i on zamierzał jej go ofiarować.

Kołyska, przebiegło mu nagle przez głowę. Zostawił ją dla Bertiego. Ale teraz...

Jeśli Jessie ją zobaczy, natychmiast domyśli się, że...

Nie zwlekając dłużej ani chwili, ruszył na schody. Pokonywał po trzy stopnie w nadziei, że może Jessie pracuje jeszcze w gabinecie.

Stała odwrócona do niego plecami, bawiąc się frędzelkami kolorowego, wełnianego kocyka, przykrywającego kołyskę.

- Skąd to się wzięło? - zapytała, nie odwracając nawet głowy.

- Ze strychu - odpowiedział. - Sądziłem, że może przydać się Bertiemu. - Po chwili, ponieważ cisza wy-

dawała mu się o wiele cięższa do zniesienia niż najtrudniejsza prawda, dodał: - Należała do mojej córeczki.

Jessie nadal milczała.

- Miała na imię Mary Louise. Była z Bellą, kiedy...

- Uczynił ręką nieokreślony ruch, jakby nie mógł znaleźć odpowiednich słów. - Miała zaledwie pięć miesięcy.

- Patrick, tak mi przykro... Nie miałam pojęcia. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Nie mogłem. - Z trudem przełknął łzy. - Zbyt bardzo bolało.

Przytuliła go do siebie, jakby próbując ochronić przed nim samym.

Tak bardzo starała się nie myśleć o tym, co mogło oznaczać dla niego uprzątniecie pokoju, a tym samym rozprawienie się ze złymi wspomnieniami.

- Chodźmy stąd - poprosiła.

- Nie, nie. Wyniosę to z powrotem na strych - odpali, wskazując ręką kołyskę.

- Jutro - powiedziała. - Zajmiemy się tym jutro.

Poprowadziła go w kierunku sypialni, nie pozwalając, by oglądał się za siebie. Nie chciała zostawić go teraz samego. Nie dzisiejszego wieczoru.

- Zostanę z tobą na noc - powiedziała.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się blade.

- To powoli staje się tradycja.

- Tradycja to nic złego... i żeby było całkowicie jasne: żadnego seksu.

- Żadnego seksu - powtórzył za nią.

Gdzieś, w kącikach jego ust błąkał się nieśmiały uśmiech.

Czekał już tak długo. Dziesięć długich lat na to, by wrócić do życia.

Może poczekać jeszcze trochę. Tak długo, jak tylko będzie trzeba. Tak długo, aż Jessie odważy się mu zaufać.

Oboje długo nie mogli zasnąć. Leżeli, rozmawiając o przeszłości. O jego przeszłości.

Opowiadał jej to, czego" nie wiedziała o Belli, o Mary Louise, o samotności, jaką czuł po ich odejściu.

Nie pytał o Tony'ego i tak było lepiej. Nie miała ochoty o nim rozmawiać. Nie dzisiaj.

Obudziła się w środku nocy, przygnieciona ciężarem jego ciała. Było duszno i parno.

Kątem oka spostrzegła leżący na podłodze podkoszulek. Ten sam, który Patrick miał na sobie, w chwili gdy zasypiali.

- Mylisz się, wiesz o tym - usłyszała.
  - Myle się? - powtórzyła. - Co do czego?
  - Sądzisz, że chciałem, byś zastąpiła mi Bellę, a Bertie - Mary Louise. Mam rację?
  - Patrick, nie musimy o tym rozmawiać, jeśli...
- Położył palec na jej ustach.
- Pozwól, że dokończę. Chcę, żeby nie było między nami żadnych niedomówień.

Spojrzała na niego i powoli skinęła głową.

Milczał przez chwilę, zanim odezwał się ponownie.

- Przez pewien czas ja również niewiele rozumiałem z tego, co się ze mną dzieje. Obawiałem się, że... Że

traktuję was jak lekarstwo na smutek. Na szczęście myliłem się.

- Skąd możesz mieć pewność?

- Przekonałem się o tym dzisiaj. Dziecko znikło z mojego życia, ty w nim zostałam. Wszystko inne przestało się liczyć.

Odgarnął dłonią włosy z jej twarzy, pozwalając, by jego palce ześlizgnęły się łagodnie z policzka na delikatne wygięcie jej szyi. To było jak upragniony powrót do domu.

Tak bardzo pragnął ją pocałować. Tak bardzo pragnął jej całej.

Wciąż było jednak na to o wiele za wcześnie.

Jessie za ledwością przełknęła ślinę. Przez moment miała wrażenie, że Patrick przygarnie ją do siebie, dotknie wilgotnymi, twardymi wargami jej ust i pozwoli jej zapomnieć. Nie zrobił tego jednak.

- A ty i Tony? - usłyszała zamiast tego. - Czy to już przeszłość?

- Dlaczego o to pytasz?

- Sam nie wiem - odpowiedział. - Może dlatego, że przed chwilą rozprawiłem się z własnymi wspomnieniami. Pomogło. Mogłabyś spróbować zrobić to samo.

- Chcesz poznać cały mój życiorys?

- Tylko wtedy, jeśli będziesz miała ochotę mi o tym opowiedzieć. Ale nie teraz. Później. - Obrócił się w jej kierunku. - Teraz chciałbym usłyszeć jedynie, skąd wziął się ten tatuaż na twoim udzie...

Zaśmiała się.

- Skąd o nim wiesz?

- Nie uwierzysz, ale widziałem go już pierwszego dnia. Wszedłem do łazienki i...

- A wtedy ja się zdziwiłam, dlaczego pojawiaasz się nagle w drzwiach łazienki, w dodatku niemal zupełnie nagi. - Uśmiechnęła się do swych wspomnień.

Patrick pochylił się i dotknął wargami jej ust. Czule i delikatnie. Tak, jak jeszcze nigdy nikt tego nie zrobił.

Jego pocałunek był jak zaproszenie. Może. Jak obietnica. Z pewnością.

- Jeśli powiedziałbym ci teraz, że jestem zakochany, uwierzyłybyś?

Drgnęła, jakby nagle powiało lodowatym wiatrem.

- Nie jesteś kłamcą, jak Tony. W niczym zresztą go nie przypominasz. Ale pożądanie to nie wszystko, Patrick. Dobrze o tym wiesz.

- Nie, nie wszystko - potwierdził. - Ale może być całkiem niezłym początkiem. Gdy mówiłem o miłości, nie uwierzyłaś mi, prawda?

Tym razem już nie było powodu, by unikać odpowiedzi na jego pytanie.

- Jeszcze tydzień temu, odpowiedziałabym „nie” bez chwili wahania.

- A teraz?

- Teraz? - powtórzyła za nim, posuwając delikatnie palcem po delikatnym łuku jego ust. - Teraz, uwierzyłabym, nawet gdybyś powiedział mi, że trawa jest niebieska, a niebo zielone. Pocałuj mnie, Patrick.

Jego pocałunek był słodki i delikatny, jak muśnięcie skrzydeł motyla.

Jednak ona chciała o wiele więcej.

- Zrób to jeszcze raz - poprosiła. - Tak, żebym nie mogła już mieć żadnych wątpliwości.

Zrobił, jak prosiła.

- Zwariowałaś. Kompletnie zwariowałaś, wiesz o tym? Jest dopiero szósta rano. Jeśli on tam jest, prawdopodobnie jeszcze śpi. Jeśli nadal jest tam ona, śmiertelnie ją przerasisz.

- Nic na to nie poradzę, Sarah. - Carenza odwróciła głowę w kierunku przyjaciółki. - To jak czekanie na wyrok. Za każdym razem, gdy ktoś nas mija, mam wrażenie, że to Patrick. Albo moja matka. Dłużej tego nic zniosę.

Mówiąc to, przekreśliła klucz w zamku i wystukała kod alarmu.

- Właściwie może masz trochę racji? - zastanowiła się, zanim weszła do środka. - Może lepiej będzie, gdy zostaniesz na zewnątrz? I przygotujesz samochód do natychmiastowego odjazdu? Tak na wszelki wypadek.

Nie czekając nawet na odpowiedź przyjaciółki, weszła do środka.

Najciszej, jak potrafiła, odnalazła drogę na schody i weszła na górę.

- Patrick! - odezwała się głośniejszym szeptem, uchylając drzwi sypialni.

Nie było żadnej odpowiedzi. Zrobiła krok naprzód.

Dopiero po chwili rozpoznała, co tak naprawdę ma przed oczami i do kogo należą ciała, splecione w miłosnym uścisku. Uśmiechnęła się do swoich myśli.



Starając się zachowywać jak najciszej, wyszła z sypialni, przymykając za sobą drzwi.

- No i co powiedział? - zapytała Sarah, zanim jeszcze na dobre Carenza zajęła miejsce w samochodzie.

- Nic. Spał.

- Wynajęliśmy samochód i przejechaliśmy taki szmat drogi tylko po to, żeby się tego dowiedzieć?! - Sarah zdawała się nie wierzyć własnym uszom.

- To było warte tego, by wydać wszystkie oszczędności, wierz mi - oświadczyła z uśmiechem Carenza. - Możemy wracać.

## EPILOG

- On jest przecież okropny! Kompletne dno! Nie mam pojęcia, co Carenza w nim widzi.

- Nic. Po prostu jest zakochana.

- Musimy coś z tym zrobić - zdecydował krótko Patrick. - Aaa!

Jego półroczna córeczka wbiła mu właśnie w ramię swój pierwszy i na razie jedyny ząbek.

Patrick pogłaskał dziecko czule po główce.

- Przecież on ją jawnie wykorzystuje! Czy ona naprawdę tego nie widzi?

- Jest bardzo przystojny - tłumaczyła Jessie.

- Sądysz, że o tym nie wie? Założę się, że codziennie na dobranoc całuje swoje odbicie w lustrze.

- Nie wydaje mi się. Poza tym, bycie przystojnym nie jest przecież grzechem.

- Ale to nie tylko to. Wiem o czymś jeszcze!

- A mianowicie, kochanie? - odezwała się sennie.

- Wiem od jej matki, że prosiła ją o pożyczanie większej sumy. Mnie nawet o tym nie wspomniała. Wiedziała, co bym odpowiedział.

- Ooo... W takim razie może rzeczywiście powinniśmy się tym zająć? - Obróciła się na łóżku i wzięła dziec-

ko z rąk męża. - Biedne malarstwo... Kiedy wreszcie te zęby dadzą ci choć trochę spokoju?

- Kiedy dadzą choć trochę spokoju nam wszystkim?  
- odpowiedział Patrick.

- To prawda... A może to właśnie jest odpowiedź?

- Co masz na myśli?

- Narzeczony Carenzy jest po prostu zbyt wygodny. Żadnego nacisku, by wziąć się za jakiegokolwiek zajęcie...

- Czy ja dobrze rozumiem?

- Trzeba to zmienić -. zdecydowała Jessie.

- Nie sugerujesz chyba... - Patrick zaczął niepewnym głosem. - Naprawdę chcesz zostawić Chloe przed drzwiami mieszkania Carenzy? Kochanie, przecież ona nie ma pojęcia o dzieciach!

- Poradzi sobie. Z trudnością, ale poradzi sobie. Poza tym, uwielbia przecież Chloe.

- Więc... kiedy?

- Im szybciej, tym lepiej. Jutro. Z samego rana.

- A dokąd my się wybierzemy?.

- Gdzieś daleko stąd. Gdzieś, gdzie nikt nas nie odnajdzie - uśmiechnęła się. - A przede wszystkim gdzieś, gdzie znajdziemy duże, wygodne łóżko.